PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV ⁎ WARSZAWA ⁎ SOBOTA — CENA 50 GR. — 18 LIPCA 1936 R. ⁎ NUMER 29 (146)

W SPRAWIE OŚRODKÓW SZTUKI LUDOWEJ

I

Sztuka ludowa, pomimo wielkiego jej tradycjonalizmu, nie jest czymś statycznym, ale jak każdy przejaw życia przemienia się, przeobraża i podlega wpływom. Inne jednak zagadnienie w związku z tym zjawiskeim staje przed tym, kto badając sztukę ludową szuka odpowiedzi na pytania, dotyczące genezy pewnych form, a inne przed tym, kto analizuje te formy wyłącznie z punktu widzenia kryteriów artystycznych. Patrząc pod tym kątem, nie pytamy, skąd się wzięły i pod jakim wpływem powstały np. pewne motywy ornamentacyjne w sztuce ludowej, ale stawiamy sobie pytanie, czy i w jakim stopniu forma tych motywów odpowiada zasadom budowy ornamentu. Jeżeli stwierdzimy działanie na sztukę ludową pewnych wpływów, to stojąc na stanowisku badania jej z punktu widzenia kryteriów artystycznych zwrócimy przedewszystkiem uwagę na to, w jaki sposób lud te wpływy asymiluje i jak w związku z tym urabia się jego sztuka.

Zagadnienie to, odnośnie do jednej dziedziny sztuki ludowej rozwiązuje Ksawery Piwocki w książce o *Drzeworycie ludowym w Polsce* (Warszawa 1934). Podaje on nawet pierwowzory, którymi wytwórcy ludowi posługiwali się przy wykonywaniu swoich drzeworytów; były to dawne sztychy i obrazy, przeważnie 17 i 18-wieczne. Autor wykazuje, jak lud interpretował te wzory w drzeworytach, jak umiał je przetłomaczyć na mowę techniki, którą operował; nie rozumiejąc np. światłocienia i nie mając do niego przekonania, drzeworytnicy przeistaczali pierwowzory i ujmowali je w sposób bardziej abstrakcyjny i rytmiczny, zgodnie z charakterem tworzywa drzeworytniczego i zamiłowaniem ludu do dekoracyjności. Brali pomysł, ale nie kopjowali — proces wytwarzania, metodę roboty, czerpali z własnej swojej skarbnicy doświadczeń, sięgającej wgłąb średniowiecza. Wpływ taki nie naruszał więc właściwego charakteru sztuki ludowej i nie zmieniał tego, co stanowi podstawę jej wartości artystycznej.

W innych gałęziach sztuki możemy obserwować również stałe kontaktowanie sztuki ludowej z sztuką warstw oświeconych. Jeżeli chodzi o średniowiecze, to przy badaniu np. jakiejś starej rzeźby drewnianej, której pochodzenia nie znamy, trudno jest nawet nieraz określić, czy dany obiekt jest wytworem artysty ludowego, czy też „prymitywizmu“ jego nie należałoby przypisać mniejszemu wyrobieniu prowincjonalnego artysty, pochodzącego z warstw wyższych, które w czasach romańskich i gotyckich różniły się od ludu tylko inną skalą życia i wyższym stopniem kultury i zamożności, a nie zasadniczo innym nastawieniem do życia, jak w dobie obecnej. To też według Haberlandta i Piwockiego, przed epoką Odrodzenia niema właściwie różnicy pomiędzy sztuką ludową a nieludową; zróżnicowanie następuje dopiero od epoki renesansu, i od tej też chwili możemy mówić o właściwym wpływie na sztukę ludową odrębnej od ludowej sztuki warstw oświeconych.

W polskiej sztuce ludowej zaznaczają się m. in. wybitnie wpływy baroku, które przejawiają się w architekturze drewnianej, w rzeźbach, formie mebli i t. p. Wpływy te nie działały na sztukę ludową w sposób destruktywny, ponieważ wolne tempo życia dawało możność asymilowania ich i przetwarzania we właściwy sposób, a pozatem sztuka warstw oświeconych w epoce baroku i rokoko przedstawiała pozytywną wartość artystyczną, której nie były pozbawione również obiekty sztuki, docierające do ludu w owych epokach, chociażby nawet pod względem wartości artystycznej nie były one równe zabytkom, jakie z tych epok posiadamy w stolicach.

Dziś sprawa przedstawia się inaczej. Szalony wzrost tempa życia, nieprawdopodobny wprost upadek kultury artystycznej w miastach, czego wyrazem jest powódź wszelkiej tandety w rodzaju oleodruków, tanich odlewów i innych namiastek i imitacyj dzieł sztuki w „strasznych mieszkaniach“ naszej inteligencji i półinteligencji, to jedyne przykłady współczesnej kultury artystycznej, z jakimi lud obecnie się styka i jakie wywierają wpływ na jego sztukę. W sklepach z dewocjonaliami i w kramach odpustowych kupuje lud zamiast dawnych drzeworytów bezwartościowy oleodruk, czy też odlew gipsowy i wstawia ten odlew do kapliczki przydrożnej zamiast dawnych „świątków“; spekulant daje mu wskazówki, jak ma rzeźbić, jak haftować i tkać poszukiwane w miastach przez snobów „wyroby ludowe“, wciskając równocześnie na własny użytek ludu najlichsze fabrykaty i wprowadzając w ośrodki sztuki ludowej zupełną dezorientację, którą pogłębiają jeszcze szkoły przez niewłaściwie prowadzoną naukę robót ręcznych i wprowadzanie książeczek z wzorkami. Jednym słowem możemy skonstatować, że sztuka ludowa, i wogóle kultura ludowa w zetknięciu się z naszą współczesną cywilizacją degeneruje się i ginie.

Równocześnie jednak musimy stwierdzić wyrastające zainteresowanie sztuką ludową. Wydaje mi się, że szukanie przyczyn tego zjawiska w przemęczeniu wyrafinowaniem współczesnej kultury nie jest dostatecznym jego wytłumaczeniem; że tu nie chodzi tylko o „lubowanie się w prymitywiźmie“, ale wprost o poszukiwanie pewnych wartości, jakich obecnej naszej, jednostronnie zorientowanej kulturze brak, a jakie znajdują się w sztuce ludowej — pomimo, a raczej niezależnie od tego, że sztuka ta jest „prymitywna‘.

*

Zainteresowanie sztuką ludową wiąże się z uświadamianiem sobie upadku, jaki industrializacja wnosi w naszą kulturę artystyczną. Podkreślanie przez Ruskina znaczenia pracy ręcznej i potrzeby bezpośredniego dotyku do tworzywa, zwróciło w Polsce odrazu uwagę na tak bogatą jeszcze i żywą u nas sztukę ludową. Tu należałoby wspomnieć Matlakowskiego i jego dzieła wyjątkowej miary, Witkiewicza i wielu innych, a przede wszystkim Cypriana Norwida, który dawno przed Ruskinem i Morrisem rozwijał swoje idee o znaczeniu wytwórczości ręcznej i zwracał uwagę na sztukę ludową. A jednak pomimo dużego bezsprzecznie znaczenia, jakie dla naszej kultury miały ich dzieła i działalność, musimy przyznać, że czerpanie z tego żywego źródła, jakim jest sztuka ludowa, nie dało dotychczas tych rezultatów, jakich się po nim spodziewano.

Powodu należałoby szukać przede wszystkim w sposobie podchodzenia do sztuki ludowej, które w rezultacie ograniczyło się do czerpania z niej motywów i przetwarzania ich na podstawie kompilacyjnych metod, ogólnie w Europie przyjętych w drugiej połowie XIX wieku. Stworzyła się moda na sztukę ludową, która trwa dotychczas. Zmiany tej mody przejawiają się w tym, że zainteresowanie Zakopiańszczyzną ustąpiło miejsca zainteresowaniu skrzyniami krakowskimi, wycinankami i pasiakami łowickimi, przyszła moda i na kurpiowskie wycinanki, i na hafty ludowe — ale stosunek pozostał ten sam; można powiedzieć, że stosunek ten jest wybitnie eklektyczny. Bierzemy ze sztuki ludowej gotowe rezultaty w postaci takich czy innych motywów, nie sięgając sedna, nie badając i nie troszcząc się o to, na jakiej drodze takie rezultaty powstają, nie mając do nich właściwie prawdziwego przekonania. Wczoraj widzieliśmy wszystko dobre w ostrołuku, przedwczoraj w akantusie i palmecie, dziś w sztuce murzyńskiej i ludowej i żyjemy pod jej „wpływem“, transponując gotowe rezultaty na nasz własny język, tkwiący korzeniami w naturaliźmie i równocześnie w mechanizacji. Cała wytwórczość nasza powstała pod takimi wpływami, ma tyle wspólnego z istotą tego, co sztuka ludowa przedstawia, jak np. stojąca kiedyś w Krakowie przy ul. Smoleńskiej kamienica „egipska“ albo perkalik, drukowany w lotosy i skarabeusze, ze sztuką egipską. Odrodzenia, jakie ma nam przynieść sztuka ludowa, szukamy półśrodkami, nie umiejąc wyjść poza ramy eklektyzmu, drepcąc wkółko na tym samym miejscu, i zgodnie z teoretycznym nastawieniem naszych umysłów szukamy wyjścia w stwarzaniu coraz to nowych recept i przepisów. Słuszna zasada, np. że ornament, powstały w związku z jakąś techniką, przeniesiony na technikę inną, traci swój właściwy sens, przerodziła się w martwy, gotowy przepis; widzimy całą śmieszność malowania np. garnków olejną farbą we wzory z krzyżykowych haftów, nie przenosimy już tkackich motywów na polichromowane ściany, ale nie zdajemy sobie sprawy z tego, że opracowanie techniczne motywu z tkaniny ludowej i powtarzanie go na tkackim warsztacie, jest tak samo eklektyzmem.

I podobnie, jak żadne wpływy sztuki ogólnoeuropejskiej nie zmieniały zasadniczo charakteru sztuki ludowej i nie obniżały jej wartości tak długo, dopóki lud je asymilo-

DRZEWO WIECZNE

I

Szparki warg niedomknięte: krzewy drżące srebrem
od ust nam giętkim skokiem oddziera mróz.
Oto smagły poranek nad nami wzrósł,
wyłowił błyski oczu i powlekł je niebem.

Przeciekamy polami. Nad nami są złoża
sennych iskier i złudne odmiany kolorów,
na łukach fal pochyłych kołyszą nas morza
gwiazdozbiorów.

Cieniom oddech podajmy: gałązki wilgoci
wyrosną wnet ruchomo nad śnieżną powierzchnię.
W oddechu drży niepokój o kształtach paproci.
To kwiat mrozu. Chwytajmy... Niezerwany pierzchnie!

Oto wiatr go unosi, wiatr miecie, rozrywa,
dławi ciężar co ciała do ziemi nam przykuł,
więc twarze nachylamy do śnieżnego szkliwa
i stygniemy w bolesnym krzyku.

II

Czubami nart cicho zepchniemy wdół
długie sznury żłobionych w błękicie kolein.
Niech gonią za blaskiem — przetną się wpół
nurtami spiętrzonej zawiei!

Końce palców się wespną nad ślady zgubione,
wiatr zagarnie nas skrzydłem i zadmie w swe fletnie,
a kiedy w powietrzu rzucimy wtył dłonie
niepokój z nas zdejmie i oddech nam przetnie.

Odtąd spalać nas będzie pragnienie obłoków,
woń nieba wrazi się w pierś,
i tylko jak iskry
spokój będą krzesały nam w oku
chwile — jak brak tchu krótkie,
— jak śmierć.

III

Igieł sypkość i drżenie. Śpi obłok u skroni
wysokiej jak u starców. Jesteśmy rozumem
lotnych zmysłów. To z nas się jak z wiatru wyłoni
ruch chmur i skrzypy drewna. Wyczytajcie dumę
na policzkach z marmuru. Na ustach draśniętych
koralem świtu wiry odkryjcie powietrzne
i chłód myśli. O, patrzcie jak z warg niedomkniętych
wyrasta siwy oddech. To jest drzewo wieczne.

Zastygliśmy. Drży jeszcze ranny szron pomników,
ruchome linie ciała, ścisłe węzły ramion.
Spójrzcie w oczy. Oczyma jak chłodną otchłanią
przelewają się morza i echa okrzyków,
tropy zwierząt i strzały dumnie w karkach tkwiące,
przemierzone pustynie, żar ognisk. W tym wszystkim
niema już nas. Ach, jeszcze — jeszcze jest nam bliskie
tchnienie. Sekret warg naszych: krzew zakwitający...

RYSZARD MATUSZEWSKI

wał i wcielał do całokształtu swojej kultury, tak samo sztuka ludowa nie odrodzi naszej, jeżeli ograniczać się będziemy w dalszym ciągu do czerpania z niej motywów i pomysłów i asymilowania jej tymi metodami, na jakich nasza sztuka zbankrutowała. Czemże bowiem innym, jak nie bankructwem i impotencją twórczą można nazwać te poszukiwania coraz to innych podniet i wzorów, coraz to nowego zdrowego pnia, około którego możnaby się owinąć, potężnym uściskiem mechanizacji wyrwać z ziemi, z której wyrasta i, w obawie runięcia razem z nim, oglądać się w pośpiechu za pniem nowym i jeszcze nie naruszonym.

*

A jednak niesłusznym byłoby wyciąganie z tego wniosków o bezpodstawności i nierealności zwrotu do sztuki ludowej — chodziłoby tylko o odnalezienie do niej właściwego podejścia. Tymczasem zabrnęliśmy w ślepy kąt eklektyzmu, gdzie sztuka ludowa znalazła się w takim samym charakterze, jak sztuka epok ubiegłych, w której także kiedyś szukano odrodzenia. Szukając wyjścia z ślepego kąta, człowiek współczesny stanął wobec zagadnień stworzenia w sztuce nowych form, odpowiednich do potrzeb współczesnego życia, oraz przywrócenia sztuce jej wartości społecznej, utraconej z chwilą, kiedy szybki wzrost mechanizacji wytrącił mu z ręki narzędzia pracy ręcznej, zanim jeszcze zaczęły kiełkować nowe formy wytwórczości, związanej z postępem techniki i maszyn. Obecnie rodzą się już nowe formy, związane z współczesną techniką. Artysta nie odgradza się już od życia i wychodzi poza wyłączny do niedawna dla niego zakres twórczości oderwanej. Zrozumiano bowiem, że tylko świadoma wola człowieka o odpowiednim przygotowaniu w tym kierunku może celowo urabiać pewne formy, które maszyna wykonywa, podobnie, jak świadoma wola i ręka technika i robotnika buduje te maszyny i kieruje nimi. Uświadomiono sobie również, że zakres wytwórczości mechanicznej jest ograniczony, i obecnie człowiek chwyta na nowo za narzędzia pracy ręcznej, zaniedbane i porzucone w chwili oszołomienia postępem techniki.

Początek odrodzeniu dała architektura, a również (jeżeli mówimy o sztuce polskiej) tkactwo w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, która była w ostatnich czasach ośrodkiem wysiłków podjętych w tym kierunku. Rozpoczynając od rzeczy najprostszej, t. j. od analizy stosunku formy do tworzywa i wyprowadzając stąd ogólne prawidła, na jakich należałoby oprzeć budowę formy ornamentacyjnej, natknięto się odrazu na tkactwo ludowe, którego formy opierają się o te same prawa i zasady, stosowane przez lud tradycyjnie. To samo odnosi się nietylko do zasadniczej sprawy budowy ornamentu, ale również do wszelkich innych praktyk, związanych z techniką tkactwa, jak np. do sprawy barwików, gatunków przędzy i sposobu przygotowania jej i t. d. Aanalogię tę można prowadzić dalej i stosować ją do innych dziedzin sztuki. Wszędzie natkniemy się na te same styczne, wszędzie lud w tradycyjnej wytwórczości swojej kieruje się praktycznie tymi samymi prawami, jakie na podstawie studiów nad formą człowiek współczesny teoretycznie opracował i poczyna je obecnie stosować w praktyce.

Zmienia się na skutek tego zupełnie nasz stosunek do sztuki ludowej. Artyści w ten sposób pojmujący swoje zadania nie będą już kopiować ani przetwarzać motywów ludowych, rozumieją bowiem, że innymi drogami dochodzi się do tworzenia rzeczy naprawdę wartościowych. Rozumieją również, że to, co wytwarza lud, związane jest z odrębną psychiką ludu i z techniką prostych ludowych warsztatów, i powtarzanie tego sposobami bardziej skomplikowanymi byłoby czymś fałszywym, niezgodnym z nowym nastawieniem do sztuki. Odnoszenie się do ośrodków sztuki ludowej współczesnego artysty, który wstąpił na te najwłaściwsze drogi, dalekie więc będzie od tak niedawnego jeszcze korsarstwa i eksploatacji tych ośrodków przez wyławianie z nich motywów, i zmieni się w stosunek dwóch towarzyszy pracy, którzy innymi, a jednak bardzo bliskimi sobie drogami dążą do tego samego celu.

Niezależnie od tego znaczenia, jakie ośrodki sztuki ludowej przedstawiają dla naszej kultury artystycznej przez sam fakt istnienia na naszych ziemiach, tak bogatych w doświadczenia na zdrowych zasadach pracujących wytwórni sztuki plastycznej, należy podkreślić wielkie ich dydaktyczne znaczenie dla współczesnych artystów. Ośrodki te wprowadzają nas w arkana sztuki dawnych epok, które nas dziś interesują niemniej, jak interesowano się nimi za czasów eklektyzmu, ale do których odnosimy się już z zupełnie innym nastawieniem. Eklektyzm zwracał uwagę jedynie na gotowe rezultaty, przejawiające się w takich czy innych formach stylowych w zabytkach sztuki dawnych epok. My poczynamy obecnie podchodzić do tych zabytków z innego punktu, od podstaw, zwracać uwagę na zagadnienie formy i jej stosunku do tworzywa.

Sprawę tego stosunku, związku formy z tworzywem, możnaby nazwać powszechnym, podstawowym prawem, które jest jednakowe dla wszystkich epok, bez względu na ich taki czy inny zewnętrzny wyraz w sztuce, przejawiający się w takich czy innych formach stylowych, i porównać to prawo do zasadniczych praw w fizyce, które nam ułatwiają zrozumienie skomplikowanych i bardzo różnorodnych zjawisk w naturze. Znajomość tych praw nie zastąpi oczywiście tysiąca dalszych zjawisk o podłożu psychicznym, społecznym i innym, składających się zarówno na powstawanie dzieł sztuki jak i na rozwój kultury artystycznej takiego czy innego społeczeństwa, w różnych epokach bowiem i przez różne indywidua twórcze prawa te są w różny sposób rozwijane, różne wywołują spięcia i ostateczne rezultaty. Bez dostatecznego jednak zrozumienia tych najprostszych praw nie można mieć właściwego podejścia do żadnej epoki, ani też mieć nadziei postawienia współczesnej twórczości artystycznej na właściwym gruncie, podobnie, jak nie można np. budować samolotu bez znajomości podstawowych praw mechaniki. Konstruktor samolotu nie powtarza sobie, jak uczniak, szeregu formuł z zakresu mechaniki, operuje bowiem już pojęciami bardziej złożonymi i na wyższej płaszczyźnie — ale te prawa zna do tego stopnia, że tkwią one na dnie każdego jego poczynania i każdego nowego pomysłu w zakresie techniki. Tak samo prawa rządzące budową formy i stosunkiem formy do tworzywa — które są jakby podstawową bazą, na jakiej dopiero wyrastają, rozczłonkowują się, różnicują i komplikują dalsze zjawiska związane ze sztuką — znał i stosował w praktyce artysta dawnych epok, podobnie, jak je zna, czy też wyczuwa i stosuje obecnie lud.

Otóż badanie sztuki ludowej pod tym kątem widzenia może nam bardzo dopomóc do zrozumienia walorów sztuki dawnych epok. W pozostałych i zachowanych do dziś zabytkach widzimy bowiem tylko gotowe rezultaty wytwórczości ówczesnego człowieka, a metody pracy, przebieg wytwórczości, możemy do pewnego stopnia śledzić, jak w małym wypukłym zwierciedle, w ośrodkach sztuki ludowej, które są tamtych epok reliktami, zachowywanymi jakby przez zapomnienie przez kłębiące się fale życia, w zapadłych kątach wśród ludu, który żyjąc swoim własnym odrębnym życiem, niezauważony przez nikogo i nieuchwycony w tryby współczesnej cywilizacji, najprostszymi dostępnymi mu środkami kontynuuje w dalszym ciągu najprostsze, dostępne mu formy dawnej wielkiej sztuki.

W ten sposób przechowały się w sztuce ludowej okruchy mądrości dawnych epok, i dziś ośrodki te mogą nam służyć za nić przewodnią, wiodącą nas jakby poprzez żywe laboratoria dawnej sztuki zbiorowej. Nie może być oczywiście żadnego porównania co do skali napięcia, co do wielkości znaczenia pomiędzy sztuką ludową a takimi np. gotyckimi tumami, budowanymi w zgodnym wysiłku przez szereg pokoleń, z mozaiką Rawenny czy Kijowa i t. p. Chodzi tu tylko o ten sam stosunek do zagadnień formy. Nie chcemy już dzisiaj wracać do tamtych epok ani do przebrzmiałych stylów w ten sposób, jak to robił eklektyzm; pragnęlibyśmy jednak oprzeć wytwórczość naszą dzisiejszą na równie słusznych podstawach, wyprowadzić ją z tych samych zasadniczych i słusznych praw, i dlatego badanie sztuki dawnych epok i równocześnie zaznajamianie się z metodami i drogami twórczymi żywej dziś sztuki ludowej, może nam oddać nieocenione korzyści. Bardzo nieliczne tylko jednostki z pośród artystów naszych umieją dotychczas z tych nieocenionych laboratoriów korzystać, i nie możemy przewidzieć, jakie skarby się w nich jeszcze kryją i do jakiego stopnia mogą one zaważyć na przyszłości naszej sztuki i naszej kultury artystycznej.

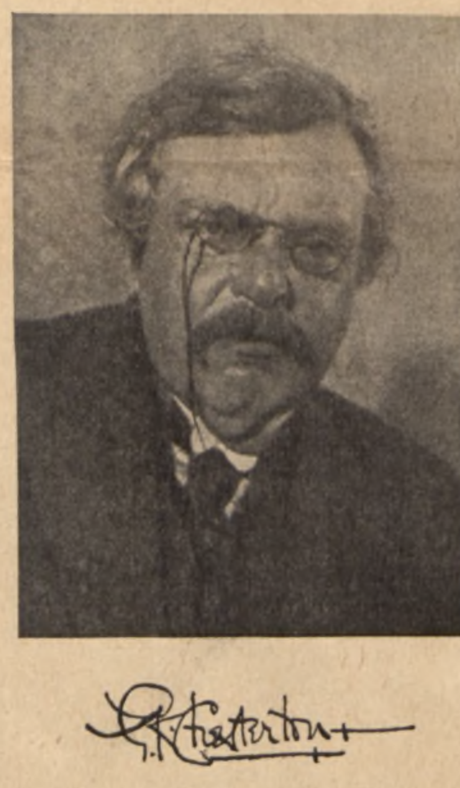
HELENA SCHRAMMÓWNA

GILBERT KEITH CHESTERTON

(1874 — 1936)

Zbiorowe wydanie poezji Chestertona ma swoisty układ: na pierwszych stronach znajdują się utwory, napisane najpóźniej, potem idą kolejno rzeczy chronologicznie coraz wcześniejsze, aż wreszcie tom kończy się zbiorem wierszy prawie najwcześniejszych, drugim z rzędu, bo pierwszy wogóle tomik nie znalazł tu pomieszczenia. Co było przyczyną tego niespotykanego — o ile wiem — do czasów Chestertona układu twórczości *à rebours?* Czy była to skromność, która nie chciała trudzić czytelnika przekopywaniem się przez słabsze utwory młodzieńcze i ofiarowała mu odrazu rzeczy dojrzałe, aby w razie, gdyby ich wartości nie uznał, mógł bez przykrego uczucia niedobrnięcia do celu zaprzestać dalszego szukania ziarna wśród plew? Czy była to może właśnie pycha, świadomość poety, że osiągnął wysoki stopień doskonałości, świadomość, że zabłysnąwszy odrazu polorem rzeczy późniejszych zmusi niejako czytelnika do zaznajomienia się z resztą utworów? Czy było to może poczucie niepewności co do walorów swej wcześniejszej twórczości i chęć przekupienia czytelnika na ich korzyść przy pomocy wysuniętych na czoło rzeczy lepszych? Czy też był to może wyskok humoru, przekorny figiel wobec czytelnika, o którym poeta wie, że ma zwyczaj rzucić najpierw okiem na początek tomu, patrzy zaraz na ostatnie kartki, aby być najbliżej „nowości" — jakąż będzie miał minę, zobaczywszy, że „nowość" wyczerpał zaraz na początku! A może ten układ wywołało nieświadome echo młodych lat, które oddychały atmosferą estetycyzmu i dekadentyzmu, atmosferą huysmansowskiego *à rebours*, z której jak z pierwotnej mgławicy, powstał, jak u Huysmansa, tak u Chestertona życiowy paradoks „powrotu" do chrześcijańskiej pierwotnej wiary i etyki? A może był to protest przeciwko wszechmocnemu pojęciu ewolucji, które starało się za każdą cenę być definitywnym, ostatecznym, rozstrzygającym kryterium o wartości czyjegoś światopoglądu? Może to była chęć wskazania, że człowiek jest jednolitym charakterem o z góry danych właściwościach, gdzie poszczególne epizody są tylko poszczególnymi, równoległymi w swej wartości fazami, że to, co jest późniejsze, nie potrzebuje być lepszym, niż to, co je poprzedza, że ewolucja to wydobycie z siebie wszystkich wartości, które tkwią w człowieku od samego początku, że talenty ludzkie są jako ci pracownicy w winnicy Bożej, co bez względu na godzinę rozpoczęcia pracy otrzymują równo zapłatę, bo snać wszystkie były potrzebne, skoro istniały? A może wreszcie przyczyną tego układu był spontaniczny, nieuświadomiony pęd do ustawiania zawsze wszystkich zdarzeń tak, aby można je było ujrzeć w odwróceniu, pęd do paradoksu w ekspresji?

Mogło to być prawie wszystko. Skromność była w Chestertonie wielka. Nie znam całości jego twórczości, monografij z ostatnich lat o Chancerze i św. Tomaszu z Akwinu, kilku ostatnich zbiorków essayów, ale z pozostałej znacznej części jego dzieł nie przypominam sobie, abym przy lekturze natknął się na zdanie, zaczynające się od „I", od angielskiego „ja", któreby było stwierdzeniem, domagającym się uznania tylko na podstawie własnego autorytetu. Chesterton milczy dyskretnie o sobie, nie narzuca się nam, jako ktoś doświadczony, który nam udziela z namaszczeniem rad. Nie wiemy nic z jego pism o jego życiu — zaledwie jakieś wzmianki są w przedmowie do „Heretyków" czy „Ortodoksji", w przedmowie do „Powrotu Don Kiszota". Coprawda, jest jedna książeczka, pisana o sobie, ale jest to właśnie książka pokory — jest to opis przejść własnej konwersji (*The Catholic Church and Conversion* 1926). Jakże odbija i uczciwą treścią i szczerą postawą ta jedyna autobiograficzna rzecz poety od całej serii pretensjonalnych pamiętników i wspomnień, ujmowanych jako dzieła sztuki autobiograficznej, pełnych niedyskrecyj osobistych i cudzych, od jakich roją się ostatnie lata twórczości angielskiej, od tych Gerhardich, Perrysów, Drinkwaterów, Middletonów, Murry'ch nawet Wells'ów i t. d. i t. d. Sądy, wypowiedziane przez Chestertona, są bezosobowymi wypowiedziami wielkiej autorytatywnej idei, istniejącej niezależnie od niego. On wie dobrze, że jest tylko instrumentem, nastrajającym się rozmaicie dla pełnego oddania wieczystej melodji Stwórcy i stworzenia.



A pycha? W tym skromnym człowieku było miejsce na pychę. Bo był człowiekiem idei. A pycha jest pokusą, jakiej żaden człowiek idei nie może uniknąć. Pycha jest bowiem jedyną siłą, która jest w mocy zniszczyć ideę. Chesterton zna pychę dobrze. Dał szereg jej studiów w nowelkach i powieściach, musiał ją znać z własnego doświadczenia. I niech mi będzie wolno, skoro w tych kilku refleksjach z powodu śmierci Chestertona wychodzę od strony „formalnej", zaznaczyć, że owo humorystyczne nazwanie swego tygodnika popularnymi inicjałami swych imion (Gilbert Keith): „G. K.'S Weekly" wydaje mi się napół ironicznym, napół poważnym ustosunkowaniem się do własnego uczucia pychy, czymś co było dla niej jałmużną i odczepnym, przyznaniem się do niej i zarazem wesołym potępieniem. Pismo nie może być przecież tylko wyłączną własnością redaktora, więc tytuł nie oznaczał prawdy i miał w sobie element ironii, ale równocześnie była w tym zaczepliwość człowieka, pewnego swej siły: „Patrzcie, oto jest moje osobiste pismo". Ta wesoła pycha była jednak raczej bufonadą, ale ten rys nie był jego osobistą własnością — był to rys typowo angielski, przejawiający się obficie w dziennikarstwie, i dlatego właśnie drażnił czasem jego angielskich czytelników, którym mogło się zdawać, że ich pisarz złośliwie przedrzeźnia.

Czego jednak nie było w Chestertonie, to starań *ad captandam benevolentiam*. Co sądził o swoich pismach, czy uważał je za posiadające wartość czy też za potrzebujące autoreklamy, nie wiemy, ale na zewnątrz publicznie nie starał się o popularność dla zysku; nigdy nie zażył swego pióra na choćby pozór kompromisu z potoczną etyką świata, która pragnie w świadomości, że wszystkie skandale i tak pójdą w zapomnienie, przyśpieszyć ten okres zapomnienia i tolerancję traktuje jako doskonały interes handlowy. Naturalnie skoro był anglikiem i obywatelem kraju, gdzie istnieje nietylko swoboda słowa, ale i kultura tej swobody, łatwo mu było pisać odważnie i poważnie, gdy chodziło o ideę i o krytykę życia angielskiego z punktu widzenia tej idei. Ale swoboda słowa nie wyklucza możliwości kupczenia tym wolnym słowem. Pokus pewnie nie brakowało — ale Chesterton je wyminął. Urodzony dziennikarz, któremu nie mógł wystarczyć kontakt z czytelnikiem tylko w formie książki, który potrzebował niemal codziennego zetknięcia się z nim, wiedząc, że tylko taki kontakt zapewni dobre wychowawcze rezultaty jego specyficznej metodzie twórczej, kiedy nie może swobodnie wypowiadać się na łamach obcych pism, zakłada na własną rękę kolejno różne pisma z dużym trudem i ryzykiem finansowym, aż wreszcie ustalił się na szereg lat, jako istotnie „niezawisły" od nikogo i niczego redaktor swego „G. K.'S. Weekly".

Więc w tym układzie zbiorowego wydania, który przecież musi być brany pod uwagę jako jeden szczegół samookreślenia ze strony poety, z pewnością nie odgrywała roli chęć przekupienia czytelnika dla uznania wcześniejszych utworów przez ofiarowanie mu na początku najlepszych. Był za to napewno w tym układzie humor, który gdzieindziej występuje jako chęć przekonania czytelnika nie argumentem logicznym, ale ujęciem zagadnienia tak fantastycznym, jak fantastycznie wygląda w naszych oczach fasada dobrze nam znanego gmachu, oświetlona napastliwym strumieniem białego światła reflektorów elektrycznych. Architekt, który ten gmach budował, tworzył go nie dla takiego oświetlenia, ale dla światła dnia! to wszystko, co dla budowy było konieczne, ale zostało przez twórcę ukryte jako szczegóły na rzecz zamierzonego ogólnego efektu estetycznego, występuje teraz wyraźniej, wydobywa się w innych stosunkach jako nowy obraz. Wszystko, co było, istnieje, ale już nie jako rzeczywistość dnia, lecz jako rzeczywistość reflektora. Z porównania tych dwóch rzeczywistości powstaje nowy obraz w naszym umyśle, coś jakby rzut owego gmachu w czwartym wymiarze. Humor Chestertona wydobywa zawsze z duszy czytelnika świadomość metafizycznej atmosfery, w której — zamiast materialnego powietrza — zawieszona jest w jego utworach kula świata.

Humor ten przyjmował najchętniej formę paradoksu. Paradoks jest może najsilniejszym argumentem przeciwko determinizmowi, przeciwko ustalonemu porządkowi przemian w czasie. Paradoks jest gwałtownym skrętem sunącej naprzód gładko maszyny. Skrętem na miejscu, ustawieniem się w kierunku powrotnego pochodu, do przebycia drogi wstecz, jest zaprzeczeniem wartości czasu jako rozstrzygającego czynnika, a podkreśleniem wartości drogi, jako tej, po której można wrócić. Czas nie jest niczym w życiu, jako miara ludzkich wartości, jest tylko taką samą miarą jak pieniądz, rozstrzyga o powodzeniu, nie o istotnej moralności danego procesu, często nawet kusi do niemoralności, do nieuczciwej konkurencji. Obłąkanie ideologii ewolucji, jako pojęcia

rozwoju w czasie, przeszło powoli w obłąkanie tylko bałwochwalstwem czasu, w rekordomanię na wielką skalę nietylko w sporcie, ale w życiu politycznym i społecznym, w wyłączne mierzenie wartości szybkością lub długotrwałością procesu. I tak zatraciła się zupełnie istotna moralna hierarchia wartości. Chesterton usiłuje ją odbudować przez nagłe zahamowania i wstrząsy, przez gwałtowne nawroty, przez paradoksy, które działają nieprzyjemnie i wywołują ze strony ludzi, lubiących gładki, szybki ruch po wytartych szlakach, reakcję oburzenia, drwinek i szerokich sądów o błazenowatości jego twórczości.

Nic łatwiejszego, jak powiedzieć o Chestertonie, że nakształt błazna cyrkowego staje na głowie i epatując tym gestem widza, sam się sugeruje widokiem świata na opak. Stąd to wszystko, co pisze, miałoby charakter dobrego dowcipu, ale nie byłoby prawdą życia. Takie ujęcie paradoksu Chestertona jest fałszywe. Jest nietylko fałszywe, jako płynące z niechęci do ideowego pisarza, ale także jako niezrozumienie Chestertona jako artysty. Chesterton jest nietylko pisarzem, ale malarzem. Otóż owo stawanie na głowie to nic innego, jak malarski sposób na chwycenie prawdziwej perspektywy. Stanąwszy np. w obliczu gór pośród krajobrazu o dużej ilości planów, rozmieszczonych jedne nad drugimi, trzeba odwrócić się od tego widoku i pochyliwszy się nisko popatrzeć poprzez ramę rozstawionych nóg na ten świat poza sobą. Różnica między oglądanym z normalnej pozycji widokiem a tym *à rebours* jest ogromna. Ten ostatni widok jest prawdą perspektywy dali i wysokości, odpowiada zupełnie obrazowi, chwytanemu przez soczewkę aparatu fotograficznego. Jest jednak o wiele wierniejszy w oddzielaniu planów, które czy na fotografii czy oglądane w normalnej pozycji zlewają się z sobą; teraz wszystko przesuwa się znacznie w głąb, różnice poziomów grzbietów pagórków są znacznie mniejsze. Przytem zmienia się przedziwnie światło. W dzień słoneczny krajobraz przesłania się niebieską mgiełką, wygląda tajemniczo, niepokojąco, robi wrażenie zanurzonego w kryształowej zielonkawej fali, lub kusi bezmiarem powietrza, wywołując wrażenie w patrzącym, że stoi on na najwyższym punkcie w całej przestrzeni horyzontu. Nie chce się od niego odchodzić, nie chce się wracać do normalnego krajobrazu, który odrazu gwałtownie się zbliży, podniesie ku górze w nierealnych proporcjach, stanie groźnie, wyraziście, jak zamykająca przestrzeń granica. Takim oglądanym z malarskiej pozycji światem jest świat, stworzony przez paradoks Chestertona. To nie odwrotna strona, sławna odwrotna strona medalu, gdzie rysy portretowanej osoby przedstawiają się, jak grube przykre embrionalne fałdy, pozbawione wyrazistości kształtów. Jest to świat oglądany przez artystę, szukającego prawdy jako piękna — artystę, który odnajduje atmosferę tajemniczości w otaczającym świecie przez zajęcie owej niezwykłej postawy, artystę, który odnajduje i pokazuje nam istotną hierarchię perspektyw — hierarchię wartości kierunków.

Chesterton dążył stale do tego celu. Ustaliwszy tę hierarchię dla siebie, zapragnął nas do niej przekonać. Jego paradoks to nie maniera, to metoda wychowawcza. To nie jest stawanie na głowie, z przerzucaniem nogami w powietrzu. Chesterton stoi mocno nogami na ziemi, mocniej niż niejeden z nas właśnie dlatego, ażeby móc zająć niewygodną pozycję artysty. Jego paradoks to nie zabawa, to trud wychowawczy, podjęty dla pouczania o tym, co naprawdę jest wyższe i o ile jest wyższe, i o tym, co jest i jak naprawdę daleko od nas i o tym, jak jest naprawdę piękne. Dążył do odkrycia tajemnicy zamkniętej w hierarchii wartości, tajemnicy, zawierającej w sobie klucz do równowagi duchowej, poprzez narażanie się na utratę równowagi zewnętrznych stosunków. I danym mu było uzyskać własny „powrót" do religii, w której ujrzał potwierdzenie swego własnego poznania perspektywy. Musiała to być, zaiste, wielka nagroda.

Chwili śmierci Chestertona towarzyszy uczucie spokoju. Wiemy, że nie potrzebujemy szukać dlań nagrody, bo już ją wziął z innych, niż nasze, rąk. Wiemy, żeśmy go zawsze szanowali dla śmiałości wypowiedzi i czystości intencyj. Wiemy też, żeśmy go nie przeceniali jako artysty i że nie potrzebujemy się cofać w ocenie. Wiedzieliśmy przez cały okres jego pracy, z kim mieliśmy do czynienia — nie było przypadkowych nieporozumień. Jeżeli były, to były umyślne u ludzi, którzy bronili się przed nieodwołalnym argumentem jego paradoksu. Z chwilą śmierci Chestertona nic się nie kończy i nic się nie zaczyna. Jest podobnie, jak z jego zbiorowym wydaniem, gdzie niema początku ni końca, bo to, co powinno było być na końcu, jest na początku, i na odwrót.

Zatraca się poczucie czasu, mierzonego granicami odstępów okresów. Chesterton nie jest typowym przedstawicielem swej epoki, choć był kształtującą w niej siłą. Chesterton nie był przede wszystkim artystą, który zamyka w swe dzieła doświadczenie epoki, on był przede wszystkim nauczycielem. Działanie jego nie było obliczone na zasięg przyszłych pokoleń, ale na działanie bezpośrednie naokoło siebie; nie było syntezą otaczającego świata, lecz jedynie pracą wśród danych warunków dla uzyskania własnej swojej i swoich czytelników syntezy bez związku z chwilą bieżącą. Żył zatem w swoim czasie, wyznaczonym datami urodzin i śmierci, ale nie w swoim okresie, wyznaczonym symbolami pewnych idei. Bo był właśnie nauczycielem. Szkoła zostaje, choć odchodzi z niej jakiś wielki wychowawca — zostaje w niej także tradycja o nim, nie trzymająca się jego metod i wskazań, ale krzepiąca świadomością, że mogą istnieć ludzie, którzy potrafią jasno formułować mądrość życiową. Chesterton nie był wielkim, nie tworzył nowych wartości, tylko nowe metody. Jego rzeczy nie pozostaną jako arcydzieła, ale staną się dobrą nauczycielką, pełną rady pomocą w życiu niejednego jeszcze człowieka, pragnącego ustalenia swojej duszy. Nie był wielki, bo to zastrzeżone jest dla twórców, ale osiągnął najwyższy punkt doktryny dla nauczycieli: stanął na samym progu wielkości. Rozumiał bowiem wielkość i umiał o niej mówić.

ANDRZEJ TRETIAK

KRAKÓW INTELEKTUALNY

Powiedział ktoś dowcipnie, że Kraków jest miastem żywych kamieni i martwych ludzi. Pozory zdają się potwierdzać ten złośliwy aforyzm, zwłaszcza w jego części pierwszej. W Krakowie żyją nietylko stare kamienie, zaklęte w czar sztuki gotyckiej i renesansowej, — żyją i kamienie nowe.

Nic prawie nie robi w Krakowie takiego hałasu jak właśnie te nowe kamienie. Głośno mówi o sobie olbrzymi, wznoszący się gmach Muzeum narodowego. Ma wielu przeciwników. Słyszy się znane argumenty: „w takich czasach", „rzeczy pilniejsze" i t. d. Faktem jest jednak, że muzeum było gwałtowną potrzebą naukową, kulturalną i reprezentacyjną Krakowa, faktem jest, że daje pracę setkom ludzi; faktem jest, że jego blok rysuje się szlachetnie na otwartych przestrzeniach koło Błoń, dobrze dostosowany swą linią „moderne" do nowoczesnej dzielnicy miasta. W większej ciszy wznosi się opodal gmach Biblioteki Jagiellońskiej, gmach tak dawno ze wszech miar wyczekiwany. Prawdziwy wrzask robią kamienie poruszające się po Rynku. Jeszcze unoszą się w powietrzu echa wrzawy rozpętanej dokoła osławionego Feniksa. Wrzawa była słuszna. Różowa i szklana, niespokojna plama urąga wprost dostojeństwu Sukiennic i Panny Marji. Ma się wprost czasem wrażenie że im pokazuje język. Ale stokroć gorsza awantura rozpętała się dookoła sławnej już na całą Polskę Wikarówki. W zeszłym roku była wyłącznym tematem konwersacji. Kłóciła najlepszych przyjaciół, dzieliła małżeństwa. Odgrywała poprostu w rozmowach rolę uboju rytualnego...

Restauracja Wawelu jest w pełnym toku. Obecnie rozpisano konkurs na dekorację Sali Polskiej Kawalerii. Nie tu miejsce rozpisywać się nad tą restauracją Wawelu, którego nowe odrzwia i plafony są naogół dość ostro ale objektywnie krytykowane, i nie tu miejsce snuć horoskopy, jak wypadnie ta sala północnego skrzydła, która ma być poświęcona pamiątkom ideowej działalności polskiej kawalerii.

Ale kamienie Krakowa nie tylko wznoszą się w gmachy oficjalne, nietylko wkraczają między renesansowe i gotyckie budowle: Kraków jako miasto rozbudowuje się dziwnym paradoksem bardzo silnie. W roku 1934 „wbudowano" w Kraków pokaźny kapitał ponad 9 milionów złotych (w tym kapitału prywatnego 7 milionów, kredytów 2 miliony). W roku 1935 przebudowany ten kapitał zmniejszył się właściwie nieznacznie w porównaniu z tak bardzo kurczącym się na każdym polu życiem. W 1935 roku bowiem przebudował Kraków 8 milionów — w stosunku 6 mili. kapitału prywatnego do 2 mili. kredytów. (Cyfry podaję w zaokrągleniach).

Mówią, że takie rozbudowywanie się Krakowa jest swego rodzaju paradoksem, bo niema dnia, żeby się nie słyszało znamiennych słów, że ten lub ów przenosi się do Warszawy, a domy zwłaszcza na peryferiach Krakowa, w tych ładnych, planowo i nowocześnie zabudowywanych dzielnicach willowych, rosną jak grzyby po deszczu i są wynajmowane jeszcze w budowie. Do tego ruchu budowlanego przyczynia się niewątpliwie, choć napewno nie naumyślnie, Hitler. Powstaje cała nowa dzielnica Krakowa, zwana w mowie potocznej „Berlinem". Tam lokują swe kapitały niechętnie przez Hitlera widziani obywatele Rzeszy... *Sic transit gloria mundi...*

Wśród tego ruchu kamieni żywych, ruch ludzki wygląda z zewnątrz rzeczywiście dość ospale. Ulice są jak dawniej „puste w nocy, ciche we dnie". Tej zimy spadek ruchu był zupełnie frapujący. Czasami, idąc przez ulice śródmieścia, miało się wrażenie Wenecji, słysząc ten tak charakterystyczny dla perły Adriatyku szelest nóg po bruku. Szelest ten nie był tłumiony, jak w innych miastach, ruchem kołowym. Zawsze duży w Krakowie ruch pieszy jeszcze się wzmógł. Samochód stał się zjawiskiem rzadkim; może być, że to przygaśnięcie ruchu zewnętrznego Krakowa (ruch w sklepach był też minimalny) jest skutkiem pogorszenia warunków bytu świata urzędniczego. Kraków jest, jak wiadomo, miastem urzędniczym, nie posiadając ani bardzo rozwiniętego przemysłu, ani ruchu finansowego.

Ale, mimo to, życie intelektualne Krakowa nie jest ani tak senne ani tak nikłe jakby sądzić mógł ktoś powierzchownie. Ma napewno całkiem inny charakter niż np. życie Warszawy. Przede wszystkim bardzo mało skupia się, jak w wielkich miastach, koło dzienników, redakcyj i złączonych z nimi grup. Tych redakcyj jest już w Krakowie niestety bardzo mało. W zeszłym roku wyprowadził się stuletni prawie mieszkaniec Krakowa, sędziwy *Czas*; opuścił Kraków najstarszy, bo przeszło 50 lat istniejący miesięcznik Polski *Przegląd Powszechny*; za nimi wyruszył do stolicy *Przegląd Współczesny*, znacznie mniej stary, ale równie dostojny. W Krakowie oprócz paru pism pomniejszych został tylko *Ilustrowany Kurjer Codzienny*, ochrzczony przez zeszłoroczną, niezrównaną w dowcipie szopkę, poufałym mianem *Ikacyka*... Równocześnie coraz liczniej i bardziej zwycięsko wkraczają do Krakowa gazety warszawskie. Coraz liczniej rozchodzi się tu *Gazeta Polska*, *Kurjer Poranny*, *Express Poranny*, *Dziennik Poranny*. Wiele z tych pism ma w Krakowie swe ekspozytury i administracyjne i redakcyjne. Fakt, że Kraków ma coraz mniej pism własnych, a coraz bardziej czytuje pisma warszawskie, zajmując na ich szpaltach rubryki „Z Krakowa", „kronika krakowska" zdaje się świadczyć, że Kraków godzi się ze swą rolą „prowincji" a rezygnuje z zajmowanego dotąd stanowiska stolicy.

Ale nie na wszystkich polach jest tak. Jak od lat, najgłośniejszym sercem intelektualnego Krakowa jest teatr.

Teatr imienia Juljusza Słowackiego pod dyrekcją Karola Frycza zmienił trochę oblicze. Za szczęśliwe posunięcie nowej dyrekcji trzeba uznać zwolnienie tempa premier. Dotychczasowa moda cosobotniej premiery była rzeczywiście trochę za forsowna. Musiała wywołać pewną zadyszkę. Dawniej przez jedno półrocze obowiązywała norma 24 premier. W pierwszym półroczu obecnego sezonu odbyło się ich 15. Jest to różnica bardzo korzystna.

Drugą jakby inowacją p. Frycza jest system t. zw. gościnnych występów, znacznie mniej stosowany za dyrekcji poprzedniej. Wiadomo, że ten znany *truc* teatrów prowincjonalnych ma swoje duże niebezpieczeństwa. Czyni linię repertuarową bardzo przypadkową, pracę teatru miejscowego podporządkowuje kilku silnym, a z danym teatrem organicznie niezrośniętym indywidualnościom, spycha niejako z teatru odpowiedzialność artystyczną a nawet kasową. Ale teatr Krakowski jest czymś więcej niż teatrem prowincjonalnym, a dyrektor Frycz, przy swojej wielkiej kulturze, potrafił te niebezpieczeństwa uchylić. Rzut oka na tegoroczny repertuar wykazuje to dobitnie.

Widział Kraków w tym roku *Noc listopadową*, *Candidę*, *Niebieskiego ptaka* (który cieszył się wielkim powodzeniem zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży), *Wychowankę*, *Most*, *Henryka IV* z Junoszą Stępowskim i z tymże *Iwana Groźnego; Judasza* i *Fryderyka Wielkiego z Solskim* (Solski, nawiasem mówiąc jako najmłodszy z wszystkich, podtrzymywał ogromnie „nocne życie Krakowa" pokazując się w restauracjach i kawiarniach o godzinie, o której zwykli Krakowianie dawno już śpią snem bogobojnym...). Widział też Kraków w tym sezonie Wysocką. Na początku sezonu duże zainteresowanie wzbudziła prapremiera młodego autora, Niżyńskiego *Trzy mgły*. Teraz Kraków interesuje się po raz pierwszy w Polsce graną sztuką pisarza amerykańskiego Lavery, *Pierwszy legion*. Sztuka ta grana z wielkim powodzeniem w Wiedniu, przez znakomitego artystę Bassermana jest rzeczywiście bardzo oryginalna: niema w niej ani jednej kobiecej roli, natomiast występują na scenie sami Jezuici... Sztuka zresztą doskonała: pełna walorów scenicznych, humoru, napięcia dramatycznego i grana zupełnie pierwszorzędnie. Na podkreślenie zasługuje kreacja sceniczna Józefa Karbowskiego, jedna z najznakomitszych tego zresztą doskonałego aktora. Widownia rojąca się od sutann, habitów i kornetów wygląda bardzo oryginalnie i bardzo po „krakowsku"...

Jeżeli do tego już i tak urozmaiconego repertuaru dołączymy jeszcze szereg sztuk lekkich zobaczymy, że „menu" krakowskiego teatru było obmyślane dobrze i celowo, że występy gościnne linii repertuarowej nie załamały, przeciwnie podtrzymały ją, rozszerzając możliwości teatru, który jako w mieście jedyny, ma zawsze zadanie trudne, chcąc łączyć jednolitość z rozmaitością.

Rzut oka na projekty teatralne jest też bardzo obiecujący. W przygotowaniu znajduje się *Złota Czaszka* i *Dożywocie* i spora ilość prapremier, co jak wiadomo jest zawsze probierzem żywotności teatru. W robocie jest sztuka Marii Jasnorzewskiej *Mrówki*, może najciekawsza ze scenicznej twórczości znakomitej poetki, a która dotąd z powodu trudności wystawy nie mogła się doczekać inscenizacji. W robocie również jest *Misterium nocy majowej* L. H. Morstina. Oprócz tego w dyrekcji są złożone sztuki Czajkowskiego, Joli Fuchsówny, Anatola Sterna, tegorocznego laureata P. A. L. Światopełk-Karpińskiego, a także i inne sztuki pisarzy debiutujących. Niektóre z tych sztuk powędrowały z powrotem do swych młodych autorów, którzy mają poczynić w nich poprawki wedle wymagań sceny i wedle wskazówek jej znawców. To wszystko wskazuje, że teatr krakowski nie zrezygnował ze swej przodującej roli kulturalnej i wychowawczej.

Różne ewenementa urozmaicały sezon tegoroczny. Najgłośniejszym było przedstawienie dane przez *Comédie Française*. Urokiem egzotyczności cieszyły się też wystąpienia znakomitej aktorki-śpiewaczki japońskiej, pani Teiko Kiwa w roli Madame Butterfly. Był to najbardziej frapujący epizod wznowionej od niedawna Opery.

Ewenementem specjalnym, gościnnym ewenementem *sui generis*, było wystąpienie na scenie Zygmunta Nowakowskiego, w *Chimerach* Chiarellego. Doskonały ten aktor, były dyrektor krakowskiego teatru, od lat 7 ze sceny zeszedł, aby się oddać całkowicie zawodowi pisarskiemu. Pytającym oświadczał zawsze, że ze sceną zerwał definitywnie. Ale nowy jego fach, literatura, jest najbardziej niedyskretnym z fachów, to też wbrew oświadczeniom wiedzieliśmy i z felietonów i ze *Startu Edmunda Sulimy*, że uczuciowo ze sceną nie zerwał... Na pierwsze pojednanie z teatrem (ufajmy że definitywne) wybrał sobie rolę „małą", hrabiego Luciana Lanci, rolę, w której właściwie grać nie potrzebował. Nie grał jej też, tylko... był sobą. Jedynie filozofowie, którzy wiedzą jak właśnie trudno jest być sobą, mogliby należycie ocenić świetność tej gry. Z każdego ruchu, z każdego słowa wychodził aktor pierwszorzędny, kulturalny, inteligentny. Patrząc na nonszalanckiego hrabiego Lanci myśleliśmy z tęsknotą o poecie z *Wesela*, o Konradzie z *Dziadów* i *Wyzwolenia*, o Ojcu z *Pigmaliona*, o *Głupim Jakóbie*, o wszystkich pierwszorzędnych kreacjach Nowakowskiego. Ufajmy, że i te i wiele innych, nowych, zobaczymy niebawem. *Chimery* z Nowakowskim szły 25 razy, co jest ilością przedstawień dla Krakowa olbrzymią. Występy Nowakowskiego poruszyły nietylko publiczność: Nie było zdaje się ani próby, ani przedstawienia, podczas których Nowakowski nie byłby spłatał jakiegoś figla swoim kolegom. Za kulisami wre ruch: nikt nie jest pewny co mu się przydarzy za godzinę. Codziennie na lustrze w garderobie dyrektorskiej można odczytywać pisane mydłem na szybie lustrzanej frazesy uprzejme i pełne pięknych komplementów. Jest to korespondencja między Nowakowskim a Solskim. Ale to wszystko właściwie do poważnej korespondencji nie należy...

Zupełnie inny charakter miało ostatnie wielkie „wydarzenie" teatralne: jubileusz K. H. Rostworowskiego. Zewnętrzne jego ramy były podobne do innych uroczystości tego rodzaju. *Judasz* z Solskim, udekorowanie autora Krzyżem Komandorskim Poloniae Restitutae, szereg przemówień, odpowiedź jubilata. Ale treść była jakby bardziej szczera, bardziej prawdziwie podniosła, niż się to zdarza zazwyczaj. Teatr był szczelnie wypełniony. W lożach znajdowali się wszyscy dostojnicy miasta, — p. wojewoda Świtalski, prezydent miasta Kaplicki, przybyli z Warszawy — naczelnik wydziału kultury przy ministerstwie W. R. i O. P. Zawistowski, delegat P. A. L. Szaniawski. Ale przede wszystkim rodzajem sensacji była obecność w teatrze Ks. Metropolity Sapiehy i biskupa Rosponda. Widocznym było, że przybyła publiczność była prawdziwie przejęta uroczystością, wzięta *Judaszem* i naprawdę chciała dać wyraz czci i podziwu dla wielkiego dramaturga, a może także wyrazić sympatję i uznanie dla pewnego kierunku ideowego, którego właśnie K. H. Rostworowski jest najwybitniejszym dziś przedstawicielem.

Mówiąc o teatrze miejskim Krakowa, trzeba też zaznaczyć, że najczulszy barometr każdego teatru, kasa, stoi w tym roku na stałej pogodzie. Miasto szczęśliwie subwencji teatralnej nie zmniejszyło (jak się tego obawiano), a gospodarka finansowa okazała się szczęśliwa. Sezon był i jest kasowo pomyślny, czego najlepszym dowodem są wypłacane w 100% gaże aktorskie.

Jak wielkim zainteresowaniem cieszy się w Krakowie teatr i wszystkie złączone z nim problemy, dowodzi, że teatr oficjalny

nie wyczerpuje teatralnej historii Krakowa. Obok niego i poza nim odbywa się na tym polu szereg eksperymentów i wysiłków. Wielką frekwencją cieszy się „Teatr Żołnierza“, teatr popularno-ludowy. Od czasu do czasu w zakładzie X. Kuzynowicza dla młodzieży rękodzielniczej odbywają się przedstawienia takie jak *Antychryst* lub grany w tym roku pod kierownictwem reżysera Władysława Dobrowolskiego *Irydion*. Jeśli zważymy, że przedstawienia te cieszą się wielką frekwencją i gromadzą przeważnie publiczność rzemieślniczą, zobaczymy, że mają duże znaczenie teatralno-pedagogiczne.

Terenem już nie propagandy lecz terenem czysto eksperymentalnym jest teatr plastyków „Cricot“. Cricot istnieje już od 3 lat i ma za sobą około 15 premier. Między innymi zostały tu grane *Mątwa* St. I. Witkiewicza, *Historia o żołnierzu* Ramuza, *Powrót syna marnotrawnego* Gide'a, kilka sztuk J. Jaremy, T. Czyżewskiego, i wielu innych. W tym roku przez otwarcie artystycznej kawiarni przy ul. Łobzowskiej zyskał ten śmiały teatr, nie cofający się przed żadnym eksperymentem, lepsze warunki rozwoju. Uważa się on za teatr awangardowy; w programie głosi odstąpienie od wszelkiego schematyzmu teatralnego. „Uważamy, że każda sztuka wymaga specjalnej inscenizacji teatralnej, bez jakichkolwiek innych danych, prócz jej własnego wyrazu. Nasz plan to nasz repertuar“. Teatr ten wzbudzający oczywiście mnóstwo sprzeciwów i dyskusyj ma niewątpliwie duże i dodatnie znaczenie.

Żywe zainteresowanie budzi obecnie w Krakowie dość oryginalna impreza: młodzież akademicka, która w zeszłym roku grała na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej *Kopernika* L. H. Morstina wybiera się na gościnne występy z tą sztuką ...na Bałkan. Ekspedycja jest przygotowana starannie i pod fachowym kierownictwem. Dr. Reguła przygotował już teren w miastach, w których sztuka ma być grana, mianowicie w Budapeszcie, Zagrzebiu, Belgradzie, Sofii i Bukareszcie impreza spotkała się z żywym zainteresowaniem i uznaniem sfer uniwersyteckich i rządowych. Aktorom-amatorom towarzyszyć będą w wyprawie autor sztuki, reżyser teatru w Katowicach Leopold Pobóg-Kielanowski (odtwórca roli tytułowej), art. teatru Krakowskiego Władysław Woźnik, kierowniczka strony baletowej p. Wanda Haburzanka, muzyk Żuliński, który opracował stronę muzyczną widowiska, a także z ramienia senatu uniwersyteckiego, prof. Jan Dąbrowski i prof. Wojsław Molé. Przypuszczać należy, że ta ekspedycja osiągnie w pełni zamierzony cel propagandowy, zainteresowania Polską naszych bałkańskich sąsiadów i skierowania do nas ich ruchu turystycznego.

*

Ruch wydawniczy w Krakowie był w ostatnim roku mniejszy niż ruch teatralny. Może winien tu po części konkurs na powieść *Il. Kurjera Codziennego* w tym znaczeniu, że najprawdopodobniej wiele utworów powieściowych krakowskich pisarzy zamiast wyjść poprostu w książce leży w stosach konkursowych manuskryptów. Rozstrzygnięcie konkursu wyjaśni tę zagadkę. W każdym razie w tym roku wyszło niewiele. Reportaż powieściowy Jalu Kurka *Woda wyżej*, zbiór felietonów Nowakowskiego *Stawiam bańki*, i tegoż zbiór opowiadań dla młodzieży *Złotówka Manoela*, sztuka Jasnorzewskiej *Niebiescy zalotnicy*. Na jubileusz K. H. Rostworowskiego wydał krakowski związek literatów tegoż *Czerwony marsz* w niezwykle pięknej i starannej szacie graficznej. Do publikacyj literackich zaliczyć też należy broszurę X. Rektora Konstantego Michalskiego *Eros i logos u Dantego*. Znakomity uczony w sposób oryginalny i niezmiernie ciekawy komentuje twórczość Dantego. Mówiąc o wydawnictwach Krakowa nie sposób też nie wspomnieć o nieznajdującej się w handlu, lecz rzeczywiście wspaniałej, z niezrównanym kunsztem graficznym wydanej księdze jubileuszowej (40 lat istnienia) Drukarni Narodowej Dr. Napoleona Telza. Jest to jak wiadomo jedna z największych drukarń w Polsce, jedna z trzech posiadająca rotograwiurę. Kto pamięta czasy porozbiorowe, wie, czym była w tym życiu drukarnia, to też z wzruszeniem czyta się historję tej drukarni, złączoną z całym ruchem intelektualnym młodej Polski, i z dużymi odłamami pracy konspiracyjnej a potem legionowej. Z wzruszeniem czyta się jak nową formę graficzną dla książki obmyślał Wyspiański i jak robót w drukarni narodowej pilnował „zaufany drukarz“ Józef Piłsudski....

Może w przyszłym roku Kraków wystąpi z większą ilością dzieł: T. Kudliński, który milczy od czasów doskonałej powieści *Wygnańcy Ewy*, pracuje nad powieścią historyczną. Kruczkowski nad ostatnią częścią swej trylogii. Nowakowski myśli o większej pracy, złączonej z historią Krakowa. Próbką tego rodzaju jest drukowane ostatnio w *Tęczy* jego opowiadanie o globusie krakowskim, najstarszym na świecie. Pisze też sztukę teatralną, pod tytułem *Obywatelka sława*, a także projektuje współczesną powieść satyryczną, oraz powieść współczesną z życia dziennikarskiego, tak jak *Sulima* był powieścią z życia teatralnego. Trzeba ufać, że rok przyszły choć część tego bogatego programu zrealizuje. P. Aniela Gruszecka-Nitschowa ma także dwie powieści na warsztacie: jedną, którą jak powiada, pisze już od 14 lat i drugą, która się z niej po drodze wyłoniła, tak jak i *Przygoda w nieznanym kraju* była jej odgałęzieniem. Wiedząc, że dotychczasowa twórczość pani Nitschowej jest tak niesłychanie różnorodna, że każda z jej książek jest wyrazem całkiem nowej i nieznanej indywidualności twórczej, trudno przewidzieć, czem będzie i ta powieść-matka i jej druga córka. W każdym razie napewno będzie jak każda z jej dotychczasowych książek ciekawym i doniosłym artystycznym wydarzeniem. Do dzieł zamierzonych należy też zaliczyć skończoną już, choć jeszcze ani graną ani drukowaną nową sztukę Adama Bunscha *Dancing w domu wariatów*. Jest to sztuka ciekawa: rzecz dzieje się bez przerwy, a zmiana dekoracyj odbywa się na scenie, łącząc się z tokiem akcji. Należy sobie życzyć, żeby ta sztuka spotkała się ze sprawiedliwszą oceną krytyki, niż grany w zeszłym roku tegoż autora *Koń parowy*. Do oczekiwanych książek literackich należy także zaliczyć będącą w robocie książkę Kazimierza Wyki o Brzozowskim. To, co słyszeliśmy z tej książki na odczycie K. Wyki, każe sądzić, że będzie to praca ciekawa, wyczerpująca i oryginalna.

*

Odczyty. To było hasło ostatniej zimy. Nigdy chyba nie było ich tak wiele. Odbywały się odczyty, jeśli się tak wyrazić można, sporadyczne i indywidualne, odczyty ujęte w pewne całości i cykle, odczyty przeróżnych ugrupowań, stowarzyszeń, kół i związków. Wiele z nich było odczytami dyskusyjnymi. Czasem dyskusje przechodziły w formalne spory i kłótnie. Niestety tematem, który jeszcze ciągle najbardziej roznamiętniał słuchaczy były... *Zmory*. Na ten, okazuje się, niewyczerpany temat odbyło się kilka wieczorów dyskusyjnych i kilka odczytów. Rzeczywiście smutno to świadczy o bujności naszego intelektualnego życia, o jego tempie i ewenementach. Czas naprawdę zająćby się sprawami i książkami innymi, bardziej ciekawymi i bardziej doniosłymi.

Na specjalną uwagę zasługuje ciekawy i od paru już lat trwający zespół odczytowy Naukowego Instytutu Katolickiego. Instytut ten skupia pod przewodnictwem prof. Zolla, swego prezesa, elitę umysłową Krakowa, zwłaszcza ze sfer naukowych, uniwersyteckich i literackich. Co roku odbywa się tu cykl odczytów na pewien z góry obrany temat. Po szeregu poprzednio omawianych kwestyj społecznych, politycznych i prawniczych w tym roku przyszła kolej na literaturę. W cyklu ciekawych odczytów był omówiony Newman, Brzozowski, Claudel, Sygryda Undset, Jacques Rivière, Paul Bourget. Szkoda wielka, że trudności wydawnicze nie pozwalają na wydanie w książce tych prelekcyj, związanych silnie ze sobą ideologicznie.

Z tego pobieżnego sprawozdania widać, że Kraków, choć pozornie tak cichy, kryje w swych starych murach życie młode i ruchliwe. Do tego, że jest zawsze jeszcze rodzajem intelektualnego i kulturalnego ogniska przyczynia się w dużej mierze Uniwersytet Jagielloński. Kraków jest miastem typowo uniwersyteckim.

Uniwersytet jest ośrodkiem jego życia intelektualnego, jest bijącym sercem miasta. W Krakowie, choć formy zewnętrzne są zmienione, przetrwało coś z średniowiecznego życia uniwersyteckiego, z jego korporacyjności, z jego współżycia ze społeczeństwem. Nie tu miejsce omawiać wydatność i świetność naukowej pracy Uniwersytetu. Skonstatować tylko należy, że praca ta promieniuje szeroko poza laboratoria i pracownie uczonych, że uniwersytet poddaje życiu Krakowa intelektualny kamerton, i że ten kamerton jest bardzo wysoki, tak wysoki jak poziom Uniwersytetu. To też póki U. J. będzie jak dotąd podtrzymywał swoje najświetniejsze tradycje, póty o wymarciu życia intelektualnego w Krakowie nie może być mowy.

ZOFIA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA

PROBLEMY AMERYKANISTYCZNE

Odkrycie „Nowego Świata“, jak nazwano kontyngent amerykański i jak dzisiaj jeszcze jego mieszkańcy i to z dumą nieraz wymawiają, odegrało w dziejach Europy rolę bardzo doniosłą, zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym. Hiszpania zawdzięczała mu swój wzrost do potęgi terytorialnej, wówczas wprost fantastycznej, i niezmierne bogactwa w złocie i srebrze, które, co prawda, w dalszej konsekwencji zasiliły raczej inne państwa, bardziej przedsiębiorcze, do których szlachetne kruszce wędrowały w zamian za wytwory luksusowego przemysłu, pozostawiając samą Hiszpanię w biedzie i marazmie, które w dalszym przebiegu spowodowały jej powolne zejście z piedestału potęgi światowej, w której słońce nie zachodziło.

Mała Portugalia potrafiła wycisnąć piętno swej kultury na niezmierzonych obszarach Brazylii; Francja skolonizowała Kanadę i część dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, skąd nie zdołał wyprzeć jej języka i obyczajów wiek dominacji anglo-saskiej. Wielka Brytania zawładnęła i utrzymała się w tejże Kanadzie jako jednym z jej cenniejszych dominiów, ustępując z południowych części północnego kontynentu na rzecz potęgi, która pod względem materialnym przerosła nawet swoją dawną metropolię i zaczyna być wzorem, pod względem technicznym i cywilizowanym, dla starych ludów Europy.

KATASTROFA

Słońce wyskoczyło lekko z za ogromnych tyk fasolowych i rozrzuciło w ogrodzie i na podwórzu wąskie, przeźroczyste jeszcze cienie.

— Chu chu chu... chu chu — pomrukiwał śpiewnie emerytowany radca kolejowy pan Gałązka, zaczynając jakieś niewyraźne introdukcje do melodji.

— Chu chu chu... — oto znowu gołębie napaskudziły na kostjumy kąpielowe. Mówiłem nie wywieszać na noc. Gadaj do głuchych... chu chu chu... chuchu.. Pójdź tu Mufti, do nogi. Bliżej, sobako boża. Dziś już i prawe ucho naddarte. Który to piesek tak cię urządził? Twoje nocne wycieczki coraz mniej mi się podobają. Pies donżuan, messalina. Jak to w naszym mieście ludzie lubią długo spać! Gniją w w łóżkach. Piąta. Ganek należałoby przemalować na kolor zielony. Zbyszek lubi ten kolor. No, żeby mi tylko deszczu nie było. Na imieniny wnuka deszcz — do stu diabłów?

Gałązka skrzywił się, szarpnął prawym ramieniem i spojrzał na niebo ruchem starego koguta, szukającego jastrzębia. Opuścił głowę i poczłapał ku altanie, wyprztykując wargami nieukształcone kawałki słów, obłudne pokwęki i wyzwiska, adresowane do Opatrzności na wypadek, gdyby jej się podobało zesłać tego dnia deszcz.

— Głupi stary! — mruknęła Opatrzność, wychylając głowę z za wełniastego obłoku.

— Głupi? — warknął Gałązka, zadzierając głowę — a ile tych dni mi zostało, co? Ile mi tam jeszcze odżałujesz? Czy to nie mam wybitych osiemdziesięciu lat? Ile dodasz jeszcze?

— Zobaczy się — rzekła wymijająco Opatrzność, zatrzaskując drzwi.

W altanie pachniało zbutwiałymi liśćmi. Sama sobą zadziwiona pustka patrzyła zielonymi oczami owocu dzikiego wina. Gałązka połą surduta zgarnął ze stołu zwiędłe liście, które poskarżyły się zuchwałym szelestem. Pociągnął nosem bacznie, nastroszył brwi i kichnął srogo z okrzykiem głupim — pyćchauu!!

Oto na tym stole ustawi się cud. Prawdziwy tryumf ostatnich sześciu miesięcy. Sześciu miesięcy żmudnej, sekretnej pracy. Tor małej, dziecinnej a jednak prawdziwej kolejki. Tor ze zwrotnicami, relsami, budyneczkiem rozdzielczym, figurką głupawego zwrotniczego z nienaturalnie czarnymi wąsami... A tunel! tunel! Gałązka cmoknął ustami, wyrażając sobie podziw. Pogładził się po twarzy. Aja, aja. Grzeczny dziadzio, najukochańszy dziadzio. Co tam mamusia ze swym ptasim móżdżkiem i stara idiotka babcia. Ba! Na zakończenie pociąg jechał przez wspaniały wiadukt. Ostrożnie ze zwrotnicą! Na czas przestawić, bo katastrofa pewna. Pod mostem blaszany duży zbiornik z wodą. Jezioro! Uwaga, bo rybki czyhają na pasażerów.

Wrócił do swego pokoju i z wielkimi ostrożnościami począł przenosić składowe części swego arcydzieła. Stół okazał się trochę za krótki. Gałązka ustawił deskę, opierając ją o kratę w ścianie altany.

Dochodziła siódma. Podkradł się na front domu i, podtrzymując lewą ręką opadające spodnie, zajrzał ostrożnie do pokoju wnuka. Zobaczył pulchne nóżki, drobiące po pokoju, jasne kędziory i twarzyczkę. Twarzyczkę? Biały pąk na cienkiej szyjce. Niebiański żywy kalafiorek. Zachichotał. Krótkie podskoki porażonego zachwytem śmiechu trzęsły nim. Zwijał się, kręcił i przestępował szybko z nogi na nogę, jakby doznawał niespodziewanych uszczypnięć w rozmaite części ciała. I poco te głupie ceremonie z sadzaniem... niech sobie i pomoczy majteczki. Czy to niema komu prać? Tyle tych idiotek... Boże, jak to biedactwo męczy się w siedzącej pozycji!

Ten pociąg, ten cudowny tor... jakże on będzie wrzeszczał, piszczał, tańczył... nabożeństwo pierwszej klasy, z organami i wszystkimi dzwonami... święto, święto, wielkie święto!

Gałązka otarł łzy i opuścił swój posterunek pod oknem. Czy kochał wnuka? Głupota! Karmi się nim. Stary, pokutujący diabeł, zlizujący słodycz śladów młodego boga. Dobrotliwy, uschły upiorek, codziennie od rana wysysający ożywcze czerwone krople wnuczej krwi.

Wszedł do kuchni.

— Dzień dobry — powitał swoją żonę i krytycznym okiem spojrzał na jej tuszę, owieszoną suknią w kwiatki. Jeszcze lat temu trzy czyż nie czuł się dobrze przy kawie z kożuszkiem i wspomnieniach z dawnych lat? Czyż nie lubił gładzić tej rozrzewniającej kępki siwych włosów, smutnego nagrobka pięknych, jakże bujnych i czarnych włosów? Ale Tekla bardzo się postarzała i zgłupiała ze szczętem. Nie dorosła do wnuka, nie umiała zaczerpnąć świeżego oddechu. Została na zbutwiałej kupce swoich wieloletnich nawyków. Zapadała się dzień po dniu w ziemię, gdy on czuł coraz więcej ognia w piersi, młodniał i rósł z każdym rankiem. Zbyszek dla Tekli był d z i e c k i e m. Małym dzieckiem. Pieluszki, buciki, spodenki, miara, maszyna do szycia, termometr...

— Wypijesz zaraz kawę?

— Dziś powinno się pić szampana — chu chu chu... — pośpiewywał — a skoro niema szampana, wypije się twoją lurę.

Tekla uśmiechnęła się bladymi, wąskimi wargami.

— Podobno masz jakąś niezwykłą niespodziankę dla Zbyszka?

Gałązka zbladł.

— Niespodziankę? Jaką niespodziankę? Co to za babskie plotki! Żadnej niespodzianki nie ma. Prezentu nawet nie kupiłem. Na śmierć zapomniałem. Czy to nie idiotka służąca coś wam nabajtlowała o niespodziance?

— Nie wiem. Coś podobno przenosiłeś do altany...

— Do stu piorunów! — uniósł się nagle Gałązka. — We własnym domu zaczynacie mnie szpiegować? W altanie nie ma nic! Zrozumiałaś? Joasiu, chodź tu natychmiast, Joasiu!

Z pokojów wybiegła zastraszona służąca ze szczotką w ręce.

— Więc wedle ciebie twój pan coś przenosił do altany, co? Chodź ze mną. Teklo, stań tu na ganku i patrz!

— Ależ co ci jest, poco te krzyki?

— Co wam jest, nie mnie! Powariowali tu wszyscy! Sprawę trzeba wyświetlić! Tutaj, Joasiu! Chodź za mną, Joasiu!

Podreptał do altany, ciągnąc za sobą trzaskającą drewnianymi chodakami służącą.

Na widok pociągu, czekającego na hasło odejścia na najprawdziwszym torze, służąca wydała krótki okrzyk. Gałązka skrył się za dzikim winem i chwyciwszy mocno Joasię za ucho, gniótł je i szczypał, krzycząc przytem.

— Cóż, jest tu co, czy nie ma nic! Czy jest stół ze starymi liśćmi! Gadaj, przecie nie jesteś ślepa?

— Nic nie ma, panie, nie ma nic.

— Jakto nic? A stół zaśmiecony, a ławka brudna? A czemu? Bo wiadomo, że tu nikt nie bywa, a zła leniwa służąca, tłuk kuchenny nie posprząta sama. Nie ma czasu, bo kocha się w strażaku i w brudzie. Pewna jest, że nikt tu nie zaglądnie, bo tu nikt nigdy nie chodzi. Tu niezdrowe powietrze i pomylonym ludziom może się zwidywać, że tu coś jest.

— Nie, panie, nie ma... jak Boga kocham, że nie ma.

— Słyszałaś! — krzyknął tryumfalnie Gałązka do żony, uwalniając Joasię. — Zaklęła się na Boga. Przecież nie weźmie na siebie grzechu śmiertelnego. Nie jest jej chyba obojętne czy będzie skwierczeć w piekle, czy hymny wyśpiewywać z aniołkami.

— Masz też o co robić awantury — dziwiła się pani Tekla, przyglądając się z pewnym niepokojem mężowi. — Niema nic, to niema. Nic przecie złego nie myślałam.

Ale Gałązka, zupełnie zadowolony, spoglądał na czerwone ucho Joasi i pośpiewy-

Gospodarstwo Europy z chwilą odkrycia Ameryki również weszło na nowe tory. Jako niezmierzony rezerwuar surowców, tak organicznych jak mineralnych, dało początek rozwojowi nowych przemysłów, które do dziś dnia w znacznej mierze od nich zależą, mimo późniejszego udostępnienia nowych kontynentów. Z drugiej strony, wzrastająca coraz bardziej liczebnie ludność Ameryki stworzyła nowe pojemne rynki dla europejskiego przemysłu i walka o ich utrzymanie trwa do chwili obecnej, jakkolwiek na dłuższą metę zdaje się być przegraną na korzyść Stanów Zjednoczonych.

Mimo jednakże tak epokowej roli, jaką odkrycie Ameryki w dziejach świata odegrało, zainteresowanie nią nie wychodziło na ogół przez długi czas poza granice materialne, zakreślone stanem posiadania danego państwa europejskiego w dziedzinie politycznej i gospodarczej. Jedynie duchowni hiszpańscy, z racji swoich obowiązków i bezpośredniejszego wskutek tego zbliżenia do ziemi i jej ludności, sporadycznie poczęli badać, opierając się częściowo na literaturze pamiętnikarskiej pierwszych zdobywców, problemy historyczne, kulturalne lub rasowe kontynentu, zafrapowani ich odrębnością od analogicznych, które istniały w starej Europie. Im też zawdzięczamy pierwsze źródła olbrzymiej gałęzi wiedzy z różnych dziedzin, objętych dzisiaj nazwą nauk amerykanistycznych. Należy przy tym zaznaczyć, że badania te już wówczas były bardzo utrudnione, gdyż zdobywcy poniszczyli systematycznie wszelkie pomniki kultury tubylczej, które zastali w momencie odkrycia, podczas gdy inne zostały celowo ukryte przez nieufnych Indian lub przez naturę samą, która je zasypała warstwą ziemi i nakryła bujną wegetacją podzwrotnikową, przechowując je w ten sposób nietknięte dla późniejszych poszukiwań, już nie rabunkowych lub niszczycielskich, lecz przedsiębranych celem naukowego zrekonstruowania pochodzenia i wszelkich manifestacyj życia istot ludzkich, zaludniających kontynent.

Pierwszym prawdziwym uczonym najwyższej miary, który nauki amerykanistyczne, rzec można, dopiero stworzył i Amerykę po raz drugi odkrył, był baron Alexander Humboldt, genialny geograf, socjolog i przyrodnik, którego pamięć świat kulturalny właśnie w tym roku uczci. Dzieła takie, jak *Podróże do okolic podzwrotnikowych* lub *Zarys historyczny Nowej Hiszpanii*, stanowią epokę w studiach amerykańskich, które odtąd wspaniale się rozwinęły i doprowadziły dzisiaj do tego, że możemy czytać jak w otwartej księdze hieroglify, uwiecznione w kodeksach, spisanych na liściach „magueyu" i skórach zwierzęcych lub ryte na kamiennych płytach, pokrywających odkopane z trudem piramidy i świątynie Inkasów i Czibczów, czy też Majów, Tolteków, Zapoteków czy Azteków. Badania i prace geologów, archeologów, lingwistów, paleografów i paleontologów pozwoliły nam stwierdzić z pewnością, więcej niż hypotetyczną, zarówno pochodzenie człowieka amerykańskiego, jak i jego religię, urządzenia społeczne, polityczne i gospodarcze, sposób mierzenia czasu, manifestacje artystyczne, obyczaje i t. d.

Na czoło studiów amerykanistycznych wybiły się, z natury rzeczy, Stany Zjednoczone, rozporządzające całym szeregiem katedr specjalnych na swych licznych uniwersytetach, przebogatymi zbiorami w muzeach oraz świetnie wyposażonymi instytucjami, w rodzaju Carnegie Foundation i innych, które łożą wielkie środki finansowe, umożliwiające uczonym przeprowadzanie poszukiwań i ekspedycyj naukowych na poszczególne tereny. Z wybitniejszych amerykanistów wymienić należy nazwiska: Alesz Hrdliczka, Herbert Spinden, Silvanus Morley, Sullivan, Pliny Earl Goddard, Charles W. Mead, Clark Wissler. żeby tylko wspomnieć o najważniejszych.

Również w Ameryce łacińskiej objawia się coraz silniejsze zainteresowanie dla samodzielnych badań amerykanistycznych, szczególnie w związku z rozwijającym się ruchem t. zw. indianistycznym, oznaczającym nawrót do starych, kulturalnych tradycyj autochtonów i chęć oparcia nowych form życia społecznego na elemencie rasowo tubylczym, domagającym się uznania swych praw jako odwieczny gospodarz tej ziemi, chwilowo ujarzmiony przez rasę mu obcą, jakkolwiek od niej, w ciągu stuleci, przejął język, religię i kulturę zewnętrzną. Wyróżniają się w pracy tej Meksyk, Gwatemala, Kolumbia i Peru i zasięg ich działalności na tym polu zatacza coraz to szersze kręgi.

W Europie przoduje Francja na polu studiów amerykanistycznych, mogąc się poszczycić znakomitym ośrodkiem w postaci *Société des Américanistes* w Paryżu, laboratoriami archeologicznymi i etnologicznymi przy uniwersytetach oraz kilkoma katedrami. Duszą całej pracy amerykanistycznej jest prof. Paul Rivet, twórca przeważającej dziś hypotezy antropologicznej co do pochodzenia człowieka kontynentu amerykańskiego i prezes Towarzystwa Amerykanistów, które, rozporządzając poważnymi środkami finansowymi oraz sztabem entuzjastycznych współpracowników, wysyła corocznie w teren kilku młodych adeptów nauki dla studiowania poszczególnych problemów, których wyniki ogłaszają potem, w formie prac doktorskich czy habilitacyjnych.

Ostatnio, za sprawą prof. Riveta, zorganizowało się Towarzystwo Amerykanistów w Brukseli, które osiągnęło już piękne rezultaty.

Niemcy dali światu Humboldta iw całych Niemczech pracują towarzystwa naukowe jego imienia, z metodycznością, właściwą temu narodowi, której rezultaty obrazuje olbrzymia ilość fachowej literatury amerykanistycznej. Ponadto istnieje w Hamburgu Instytut Ibero-amerykański, który, prócz pracy naukowej na płaszczyźnie teoretycznej, poświęca wiele uwagi badaniom pod kątem widzenia gospodarczej i politycznej ekspansji niemieckiej.

W Polsce, niestety, naukowe zainteresowanie problemami amerykańskimi prawie nie istnieje, jakkolwiek polscy emigranci przyczynili się do skolonizowania obu Ameryk i polscy uczeni w poszczególnych krajach doszli do czołowych stanowisk. Poza nielicznymi, chlubnymi wyjątkami, nie wyszliśmy naukowo jeszcze poza granice krajów nam najbliższych, podczas gdy Ameryka, mimo wszystko, pozostała dla nas księgą na ogół jeszcze nie otwartą. Stworzenie ośrodka studiów amerykanistycznych nasuwa się jako pilny postulat rozszerzenia zasięgu nauki polskiej i najlepiej uczcilibyśmy rocznicę Humboldta powołując do życia w stolicy, gdzie ten wielki uczony bawił i przyjął od Towarzystwa Naukowego godność członka honorowego, na razie Towarzystwa Amerykanistycznego pod egidą Uniwersytetu, które, z biegiem czasu, przekształciłoby się w Instytut badawczy.

ZYGMUNT M. MERDINGER

POLITYKA — NAUKA

Nauka tworzy, nauka burzy. Burzy zaś nietylko stare hipotezy, aby nowe wznieść na ich miejsce, ale burzy spokój, potrząsając od czasu do czasu krzesełkiem, na którym siedzimy: my i kultura; że trzęsienie takie zaś jest przeciwne porządkowi społecznemu i każdemu innemu porządkowi, więc w pewnych gorętszych okresach, nauka dostaje się na indeks, staje w rzędzie rzeczy zabronionych. Ściśle zaś mówiąc nietyle nauka, ile ludzie nauki, uczeni, a przede wszystkim uczeni-twórcy. Dziś żyjemy w okresie aż nadto gorącym, dlatego więc „uczony-twórca jest w dzisiejszych czasach najniebezpieczniejszym człowiekiem dla wszelkiego ustalonego porządku społeczno-prawnego, społeczno-moralnego, ekonomicznego, religijnego".

Wśród najniebezpieczniejszych z nauk prym dzierży socjologia. „Groźbę socjologów i socjologii dostrzegają kierownicy autorytatywnych i obliczonych na długie trwanie struktur społecznych. Niedawno w Niemczech zamknięto instytuty i czasopisma socjologiczne, zwinięto prawie wszystkie katedry i wyrzucono większość socjologów za granice państwa; we Włoszech — mówiąc łagodnie — nie popiera się socjologii, w Związku Republik Sowieckich problemy socjologiczne są o tyle tylko dopuszczalne, o ile ich rozwiązania są z góry wiadome i dają się zamknąć w ramach filozofii Marxa i Lenina".

Któż tak pisze? Właśnie jeden z naszych uczonych-twórców — Florian Znaniecki (*Droga* Nr. 4).

Tak szczęśliwie złożyło się, że czytałem w tych dniach Jego pracę, nieopublikowaną jeszcze nigdzie, w której poddaje krytycznej analizie zagadnienie istoty państwa i stosunku: państwo — obywatel. Czytając czułem wdzięczność czytelnika dla autora, który rozjaśnia ciężkie mgły męczące i trapiące jego czytelnika, człowieka z ulicy, szarego człowieka, zakrzyczanego i tonącego w potwornej fali ułamkowych prawd, ćwierćhaseł i „prawd" nieistotnych; ogłuszonego obywatela, nieśmiejącego przyznać się, że (tak naprawdę) w nie nie wierzy i sensu ich nie rozumie. Ale czułem również całą prawdę niebezpieczeństwa postaci uczonego dla utartych i usankcjonowanych reguł społecznych.

Miałem dowód prawdy.

Nauka i polityka rozwinęły się, poszły swoimi własnymi drogami dla szkody obu. Życie tymczasem skomplikowało się, rozrosło technicznie, organizacyjnie, liczebnie; świat związał się nietylko szynami kolejowymi i liniami okrętowymi, nietylko głośnikiem radiowym i gazetą, ale tym także co z tych faktów właśnie wynikło: związał się ekonomicznie i politycznie. Dziś nie ma osobnej, izolowanej kultury śródziemnomorskiej i osobnej kultury Azteków i Majów i nie ma osobnej kultury Indyj. Minęły te czasy, gdy jedni o drugich nie mieli — jak się to mówi — zielonego pojęcia. Dziś jednej kultury światowej nie ma, ale jest jedno życie światowe. Dziś dyktator, bawiący się zapałkami, grozi pożarem nietylko sobie i najbliższym, ale również najdalszym, a każdy nowy kilometr obsianej ziemi w U. S. A. dmucha nietylko w barometr giełdy chicagowskiej, ale i... pińskiej. Nowa taryfa celna dla dominiów brytyjskich to inny rozkład ciśnień gospodarczych dla reszty świata; każda nowa armata i samolot niemiecki to także nowe rosyjskie, polskie, japońskie...; mr. Smith wynajdzie wieczną zapałkę, czy cegłę, to... stop, otóż to, zapałka ta lub cegła nie ujrzy światła dziennego, bo groziłaby ruiną całym szeregom przemysłów we wszystkich przemysłowych państwach świata.

Znaniecki pisze, że ludzkość cywilizowaną zaczyna ogarniać strach przed tą rosnącą i stającą się rzeczywistością, której opanować nie potrafimy. To samo pisał u nas już sporo lat temu St. Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski*. Ludzie czynu mają peł-

wał — chu chu chuchu... dziadzio zapomniał na śmierć o imieni-i-inach wnuczka, chu chu, niegrze-e-eczny dziadzio, chu chu...

Przy śniadaniu i powszechnych powinszowaniach, gdy brano na codzienny pytel te same słowa, jak codzień sypano tę samą kawę do młynka, Gałązka poił się źle ukrywanym zdziwieniem córki i żony, że oto on, dizadzio, niczym imienin wnuczka nie uświęcił. Niczym? Prawie niczym. Bo ten kołnierzyk kauczukowy, który chrzęści na czerwonym worku szyi, nakłada Gałązka na powitanie listonosza nawet. Zachowanie się Gałązki budziło zaniepokojenie u pani Tekli. Córka wzruszała ustawicznie ramionami, bo Gałązka chodził po pokojach, zadreptywał pośpiesznie wszystkie swoje ścieżynki po parkiecie i dywanach i natrętnie wykrzykiwał z dzikim tryumfem:

— A dziadzo zapomniał o imieninach wnuczka. A dziadzio fujara na śmierć o imieninach wnusia zapomniał.

Po obiedzie dom przycichł. Wszyscy rozeszli się do swoich pokojów, by wyspać się smacznie po obfitym obiedzie. Zbyszek, obładowany cukierkami, ciastkami i owocami, kręcił się niespokojnie pod ugniotem ciężkich snów. Śniło mu się, że na jego brzuchu budują murarze wielki gmach. Po murach chodzi nieustannie dziadzio, potrząsa głową i śmieje się. Zbyszek sapie, nie może udźwignąć ciężkiej budowli. Walą młoty murarzy, dziadzo niesie na ręku ogromną lalkę. Całuje ją cmoka i głaszcze po głowie.

— To jest tylko laleczka, dziadziu, a ja jestem tutaj! — chce krzyknąć Zbyszek ale tylko coś świszcze mu w gardle i nic na usta wydobyć się nie może.

Gałązka odczekał aż skończyło się ścielenie łóżek i układanie się do snu. Potem pobiegł do altany i wyniósł wszystko z powrotem do swego pokoju. Trwało to dobre pół godziny. Obawiał się, że ktoś przejrzy jego tajemnicę i odsłoni przed wnuczkiem przedwcześnie cały przepych podarunku. Wyzuty z sił, padł na łóżko i zasnął momentalnie. Odrazu przyśniły mu się pierwsze dni jego służby. Oto idzie wczesnym rankiem do gmachu dyrekcji kolejowej. Stary, osiwiały stróż Maciej otwiera z uśmiechem bramę.

— Z początku to się za wcześnie przychodzi — wygłasza poufałym tonem. Gałązka wchodzi na korytarz i zatrzymuje się przerażony. Drzwi pootwierane, wiatr pędzi po kamiennej posadzce. Całe stosy aktów i ważnych papierów tułają się, zamiatane nieustającą ani na chwilę wichurą. Wybiega z gmachu i widzi przed sobą sieć szyn kolejowych. Są niezwykle szerokie, lśniące i długie. Błądzi wśród skrzyżowań po progach dębowych, potyka się o żwir z ogromnych kamieni. Gdzieś tu jest ścieżka wiodąca wzdłuż toru. Na horyzoncie przewala się gęsta mleczna mgła. W dali majaczy sylwetka robotnika. Gałązka biegnie do niego i szybko zapytuje, którym to pociągiem przyjedzie pan minister komunikacji. Ale robotnik spogląda na niego nieporuszenie. Wówczas Gałązka przekonywa się, że robotnik jest drewnianą figurą. Dlaczegoż więc płacze? To nie płacz, to wilgotne surowe drzewo ocieka.

Z okrzykiem przestrachu budzi się i siada na łóżku. Ociera pot z twarzy. Sen zostawił wrażenie czegoś strasznego. Jakby jakieś potęgi przypomniały sobie mizerne istnienie Gałązki i zaczęły się o coś upominać.

Wstał i przekradłszy się cicho do wnuka, stanął przy łóżeczku. Gwałtownie teraz potrzebuje szczebiotu, śmiechu, toczenia się tłustych nóżek, zdrowego zapachu młodego życia. Zaniósł wnuka do siebie i posadził go na krzesełku, przygotowanym przed czerwoną zasłoną, kryjącą jego arcydzieło. Serce biło mu mocno.

— Tu... coś, czego jeszcze twoje oczki nie oglądały — mówił zdławionym szeptem. Od dziś możesz się wypiąć na swoje koniki, szabelki i tam dalej. Na śmietnik z tym!

Zbyszek tarł oczy, patrzył ze zdziwieniem na dziadka i począł okazywać gwałtowną ochotę opuszczenia krzesełka.

— Siedź! — krzyknął Gałązka.

Schował się za kurtynę, nakręcił mechanizm lokomotywy, zesadził szybko Zbyszka i pociągnął za sznurek. Zasłona rozsunęła się, błysnęły wspaniałe arkady mostu i wężownice na stalowy kolor pomalowanych szyn. Pociąg ruszył.

— Patrz! — krzyknął Gałązka. Nacisnął guzik i zwrotniczy posłusznie przesunął relsy. Pociąg wpadł z turkotem na most zniknął w tunelu i pokazał się u punktu wyjścia.

— Życie nasze wisiało na włosku — wytłumaczył Zbyszkowi, oddychając z ulgą. Zatrzymał pociąg. Zbyszek szeroko otworzył oczy i patrzył. Ale daremnie Gałązka czekał na okrzyki zachwytu.

— Jeść — oświadczał Zbyszek. — Bysio cie jeść.

— Jeść? Teraz chcesz jeść? Widzisz tego zwrotniczego? Z drzewa, a pracuje. Ocala pociąg od katastrofy. Siedź, nie ruszaj się! — krzyknął uniesiony gwałtownym gniewem i odciągnął wnuka od drzwi. — Patrz, czy ty tego nie widzisz, ile to pracy kosztowało? Fu fu! pociąg, tunel, a tu szyny, ludzie jadą...

Przestraszony Zbyszek wcisnął się między kufer i drzwi, skąd obserwował uważnie i wrogo. Przemyśliwał jakby się tu wyratować. Gałązka uśmiechnął się z wysiłkiem, przyciskając ręką szarpiące się niespokojnie serce.

— Chodźże tu do dziadzia. Czemu tak dziwnie patrzysz? To ja, dziadzio twój.

Usiadł na podłodze, począł szeplenić, szukał porozumienia zapomocą grymasów i rozmaitych błazeństw.

Niebieskie oczy Zbyszka obserwowały zimno i badawczo.

— Hau hau! — zawołał Gałązka, przesunął się na czworakach koło Zbyszka i nagle chwytając się za głowę począł krzyczeć.

— Bydlę! Bezduszne, ludzkie bydlę!

Zbyszek zaniósł się histerycznym płaczem, dopadł do drzwi i uciekł. Z głębi domu biegły kroki i głosy na ratunek. Gałązka zamknął szybko drzwi na klucz i upadł zupełnie bezsilny na łóżko. Nie odczuwał teraz nic. Pojmował doskonale. Zabawka się nie podobała. Nie, to nie. Zniszczy, wyrzuci, zamknie się na resztę życia w klasztorze, będzie mruczał zdrowaśki, zbaw Panie swego sługę grzesznego, daj odpust zupełny z mąk czyśćcowych. Plunie na cały świat. Mokrymi rózgami obije szczeniaka...

Naraz cała ta nawałnica zniknęła. Gałązka pokiwał głową. — Zbysiuniu, Zbysiuniu — wyjęczał żałośnie i rozpłakał się. Trzeba to przeżyć. Trzeba się przemóc. Wstał z zamiarem wyjścia, gdy wzrok jego padł na wzgardzony prezent. A jednak co to za piękna rzecz wyszła z jego rąk! Puścić, nie puścić pociąg? Można puścić, wszystko jedno.

Szurrr — ...przeleciał pociąg w podróż. Oto naciska się guziczek, zwrotnica przesunięta, wolny wjazd. Tunel, pasażerowie całują się z pasażerkami. A prędko, bo się rozwidni.

— Chu chu chuchu — zaśpiewał po swojemu Gałązka i usiadł na podłodze. Nic temu pociągowi zarzucić nie można. Śliczny pociąg. Zamyślił się. Trzebaby jeszcze umieścić napisy. Dla palących, dla niepalących. A dla podróżnych z psami? Idiotyzm! Tego za jego czasów nie było.

— Chu chu... — poprawi się, wszystko się poprawi — zaśpiewał znowu i nakręcił jeszcze raz mechanizm lokomotywy.

Gdy Tekla podkradła się do okna i z przestrachem zajrzała do wnętrza, zobaczyła swego męża siedzącego na podłodze. Promieniał radością, gładził się po twarzy i mruczał — A ja dziadzio, grzeczny dziadzio... cacy... Po drewnianym torze przebiegał niezmużenie miniaturowy pociąg. Drewniana figurka zwrotniczego łamała się sztywno wpół i przesuwała zwrotnicę.

— Józiu! — krzyknęła boleśnie pani Tekla.

Ręka Gałązki drgnęła przy zwrotnicy i pociąg runął do zbiornika z wodą, druzgocąc misterne arkady mostu.

STEFAN BALICKI

ne ręce roboty, muszą rozwiązywać zadania naszpikowane niewiadomymi, jak ś. p. przedkryzysowa wielkanocna babka rodzynkami.

Starają się, ale pracują coraz gorzej.

„Dzieje ostatnich stu lat to dzieje postępowego bankructwa ludzi czynu, jako samowystarczalnych kierowników życia. Źródłem tego bankructwa nie jest to, co robią, lecz to czego zaniedbują; nie jest ono wynikiem popełnionych przez nich błędów, iecz nieurzeczywistnionych przez nich możliwości“.

Ludzkość wyszła z powijaków, skończyła z cząstkowymi kulturami i partykularnymi zagadnieniami. Nie uświadamiając sobie tego, zaczyna żyć życiem całej ziemi, ale trzyma się kurczowo swego świata dziecięcego i jego akcesoriów. Nauka stworzyła nową rzeczywistość techniczną, polityka nie zdołała jej zorganizować, właściwie przeorganizować i przestawić na większe koło rozpędowe.

Część winy należy chyba złożyć i na karb nauki. Prawda bowiem, że ludzie czynu jeśli korzystali z ludzi nauki, to tylko w charakterze ekspertów, co nie jest właściwą funkcją uczonych, ale prawda również, że nauki przyrodnicze (budujące świat techniczny) przewyższyły w swym rozwoju nauki humanistyczne. Skądże mógł człowiek czynu czerpać wiedzę o prawach rządzących istotami zwanymi *zoon politikon*, gdy socjologia np. wstępuje dopiero w okres rozwoju.

Mniejsza jednak o to. Najważniejszy jest fakt, że gdy ludziom czynu brak jest wiedzy o tworzącej się rzeczywistości, a stąd idzie niemożność planowania przyszłości, istnieje rozbrat między nimi i ludźmi nauki. Politycy mają nawyk trzymania się świata już stworzonego, są konserwatystami naogół, gdy uczeni pogrążeni są w świecie ciągle stwarzającym się, są notorycznie rewolucjonistami (właściwie, biorąc historycznie, im się właśnie należy palma pierwszeństwa i godność najstarszej i najbardziej upartej partii rewolucyjnej).

Nauka kiedyś walczyła z religią, najnamiętniejsze dyskusje naszych dziadków toczyły się wokoło takich kwestyj jak istnienie duszy, małpiego pochodzenia, lub coś w tym rodzaju. Teraz zaczynamy obserwować walkę nauki z polityką, sami gotowiśmy skakać sobie do oczu przy dyskusjach o państwie, narodzie, klasie.

Ale co z tego wyniknie?

T. UNKIEWICZ

PRZEKŁADY

WIELORAKIE OBLICZA REWOLUCJI

ANDRÉ MALRAUX: *Dola człowiecza.* Warszawa, 1935. Tow. Wyd. „Rój“. — *Zdobywcy.* Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój“. Obie powieści tłumaczył Adam Ważyk.

Szanghaj, noc zamglona, pokój hotelowy, w którym, poza siatką chroniącą od natrętnych moskitów, śpi człowiek, — i balkon otwarty, kędy z nożem w kieszeni wkrada się morderca. Od pierwszej zaraz strony jesteśmy zafascynowani, przejęci, i do końca nas nie opuszcza ów gorączkowy, ciężki nastrój. Znajdujemy się w pełni zmagań rewolucyjnych, — wszystko, co się dzieje strasznego, — a dzieją się rzeczy okropne, — jest nieodzowną koniecznością. W konieczność mordu wierzy nietylko Czen; my również jesteśmy przekonani, że bez tego ładunku broni niepodobna będzie prowadzić walki zwycięskiej, a zwyciężyć przecież trzeba. Ach, ta nędza chińska! Garść zimnego ryżu bez okrasy i soli, jako posiłek całodzienny, sen w rynsztoku, na gołych kamieniach, jako wypoczynek nocny, a potem, w ciągu wielu godzin, zataczający się z wyczerpania kulis, chudy niby mara, wlecze wózek z jednym, czasem z dwoma białymi, i dobrze jeszcze, jeśli tylko krzykiem, nie zaś razami laski zmusza się go do szybszego biegu.

Czen, Katow, Kyo to są wszystko ideowcy; od pierwszego zaraz zetknięcia z nimi wierzymy temu bez zastrzeżeń. Szafują hojnie życiem ludzkim, lecz swego życia także nie szczędzą, spokojnie witając okropną śmierć, gdyż ku niej przecie od początku szli. Kyo ma zgon najlżejszy, — zatruty cyjankiem; Czen umiera rozszarpany wybuchem bomby przeznaczonej dla Czang Kai Szeka. A Katow? Jeśli na tle tej wspaniałej książki, całej mówiącej o odwadze i poświęceniu. wolno wspomnieć jeszcze o czyimś wyodrębnionym z masy bohaterstwie, — będzie to czyn Katowa: dar łatwego skonania, którego się sam wyrzeka, byle ocalić od tortur dwu młodych towarzyszy.

W ogień tej samej walki, a jednak w inne środowisko przerzuca nas następna powieść Andrzeja Malraux pod tytułem *Zdobywcy*. Podczas gdy poprzednio mieliśmy do czynienia z bojowcami, z szarym tłumem, który sam wznosi barykady i sam je zdobywa, własną krwią płacąc za miraż upragnionej swobody, — tutaj mamy grono dowódców, wysiłkiem mózgu, nie zaś trudem mięśni dążących do obranego celu. Ludzie ci nietyle działają zewnętrznie, co mówią i myślą, mówią być może rzeczy mądre, obmyślają plany nader skuteczne, a jednak nie umieja nas ani dostatecznie zająć, ani też prawdziwie wzruszyć.

Książka rozpada się jakgdyby na dwie części; pierwsza dzieje się na statku płynącym z Oceanu Indyjskiego, poprzez Singapore do Hong-Kongu, druga — w samych już Chinach, w Hong-Kongu i Kantonie. Całość ma formę pamiętnika poświęconego sprawom bieżącym: metodom propagandy, naczelnym postaciom sztabu czerwonej armii chińskiej, składającego się rzecz szczególna wyłącznie niemal z cudzoziemców: Francuzów, Niemców, Rosjan, kierowanych wskazówkami z Moskwy. Jedyny tuziemiec, Czeng Daj, stary, ideowy rewolucjonista, niewielki ma głos w tym gronie międzynarodowym, to też choć przeciwny metodom terroru, nie umie nic zmienić, więc wypadki toczą się dalej pośród jęków i krwi.

W polskim przekładzie *Dola człowiecza* ukazała się wcześniej od *Zdobywców*, i tę właśnie kolejność zachowałem przy omawianiu obu tych książek, jakkolwiek *Zdobywcy* są właściwie pierwszą powieścią Malraux; wydana w oryginale w roku 1928, przeszła bez głębszego wrażenia. Następną była *Droga królewska* również chłodno powitana przez krytykę, i dopiero pojawienie się w roku 1934 *Doli człowieczej (La condition humaine)* przyniosło autorowi nagrodę Goncourtów, oraz bliską sławy poczytność.

Adam Ważyk podjął się niewątpliwie ciężkiego zadania, pragnąc spolszczyć te powieści pisane stylem pięknym, lecz trudnym, przy znacznym użyciu skondensowanych, zawiłych nieraz wyrażeń, lecz i fragmenty najprostsze nie zawsze dobrze wypadły w przekładzie. „Tym razem (Czen) wstawił spojrzenie w oczy pastora“. „Podrygnął na krześle“. „Wystrzelił kapeluszem w powietrze, delikatnie wyłapał go za rondko“. Lub wreszcie takie dwa zdania: „Auto w tej uliczce jedzie 40 na godzinę, przeszło kilometr na dwie minuty. Nawet przez całą minutę nie będę go widział“. Oczywiście miało być: „Będę je widział niespełna minutę“, lecz tego należy się dopiero domyślić.

Powyższe przykłady, — a mogłoby ich być znacznie więcej, — wzięte są z *Doli człowieczej*. *Zdobywcy* wypadli już lepiej, czy że tłumacz zadał sobie więcej trudu, czy że nabrał wprawy, ale i tu mamy takie kwiatki, jak „Nikołajew niepostrzeżenie podrygnął ramieniem“. Albo: „Dwa statki wywiadowcze powoli krzyżują się przez jakąś wysepkę“. Żałuję bardzo, że nie mając pod ręką oryginału, nie mogę objaśnić czytelników, jaki jest właściwy sens tego zagadkowego zdania.

PEARL S. BUCK: *Ludzie w rozterce.* Tłumaczyła L. Ciechanowiecka.. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój“.

Ród Wangów wyrósł z ziemi, w ciągu jednego pokolenia przeszedł olbrzymią ewolucję, od nędznej lepianki do pałacu, od znojnej pracy na roli do kantorów kupieckich, godności wojskowych i bezmyślnego lenistwa, którego symbolem były niegdyś w Chinach nadnaturalnie długie paznokcie u rąk, świadczące o życiu doskonale bezczynnym. To był atrybut męski: kobiety ściskały nogi bandażami, by w wieku dorosłym mieć stópki dziecinne. Takie właśnie nóżki miała Lotos, nałożnica Wanga, gdy tymczasem żona jego O Lan, pracownica niestrudzona, stąpała mocno i pewnie na dużych, twardych stopach nawykłych do nieustannej, wyczerpującej krzątaniny.

Ludzie w rozterce to dalszy etap w ewolucji rodu Wangów, lecz już na tle ewolucji całych Chin. Niekoniecznie trzeba być chłopką, harującą od rana do wieczora, by mieć normalne, nieskrępowane bandażami stopy, i na odwrót, mężczyzna może być bogaczem, nie nosząc paznokci długich na pół palca. Kobiecie wolno żyć życiem własnym, bawić się lub też kształcić, zależnie od zdolności i woli, a syn Wanga-tygrysa za morzem, wśród białych szuka rozwiązania pasjonujących go zagadnień.

Temat zapowiada się ciekawie. Ów młody chłopak, którego zdziwaczały despota-ojciec chce żenić gwałtem, ucieczka zbuntowanego Yuana, wędrówka po obcych krajach, zetknięcie z obcą kulturą, miłostki i miłość, dwie postępowe dziewczyny: Ailan i Meilin, — wszystko to zdawałoby się aż w nadmiarze dostarcza materiału do niezmiernie frapującej powieści. Tymczasem książka jest zaledwie zajmująca jako całość, a chwilami poprostu nuży. Nie ma w niej tej siły przekonania, tej pasji pisarskiej, co w dwóch poprzednich powieściach tego cyklu: *Błogosławiona ziemia* i *Synowie*, są natomiast tu i ówdzie irytujące dłużyzny.

Pearl Buck od dziecka wychowywała się w Chinach, zna je i zapewne kocha, lecz podług ostatniej powieści sądząc, większym darzy sentymentem Chiny mandarynów i ryksz, długich warkoczy, obyczajów patriarchalnych, — niż państwo nowoczesne, postępowe, szablonowo zeuropeizowane. Niby to pochwala cywilizację, niby podnosi jej walory, lecz równocześnie nie znajduje już barw soczystych dla odmalowania zaszłych zmian. W oddali kłębią się walki rewolucyjne, o które autorka potrąca tylko mimochodem, a równocześnie zmianom podlega cały bieg życia, które staje się zapewne lżejszym, lecz także niewątpliwie bardziej szarym.

Przekład Ludwiki Ciechanowieckiej poprawny, choć nie bez drobnych usterek.

ALEKSY TOŁSTOJ: *Czarne złoto.* Tłumaczył Wacław Rogowicz. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój“.

Aleksy Tołstoj rozpoczął karierę pisarską jeszcze przed wojną szeregiem nowel, oraz barwną powieścią z życia zamożnych ziemian rosyjskich, ostatnio zaś zdobył olbrzymi rozgłos dzięki wielkiej epopei historycznej o Piotrze I. Jest jednak rzeczą wątpliwą, by *Czarne złoto*, napisane przed czterema laty, przysporzyło mu sławy gdziekolwiek poza obszarem Związku Sowieckiego. Powieść należy do wybitnie tendencyjnych; tendencja wcale niedwuznaczna sączy się z każdej niemal linijki druku, wycieka poprostu z pośród kart opasłego tomu.

Czarnym złotem jest bogactwo Rosji — nafta; o posiadanie jej toczą bój zaciekły mroczni rycerze przemysłu. Rzecz dzieje się w latach 1917 — 1919, gdy przeciw słabo jeszcze ugruntowanej władzy rewolucyjnej występuje biała gwardia wspierana przez kapitał międzynarodowy. Otóż tych wszystkich, którzy walczą z bolszewizmem, autor odsądza od czci i wiary; nie pokazuje wcale typów dodatnich, tylko samych łotrów, zbirów, spekulantów zrzeszonych w Lidze ocalenia Cesarstwa Rosyjskiego. Przewodzi im opryszek w wielkim stylu, „pułkownik“ Chadżet Lachet, który, przy pomocy trzech pięknych i oczywiście upadłych kobiet, zwabia znaczniejszych bolszewików do ustronnej willi podmiejskiej, tam, przy pomocy tortur wymusza od nich czeki na wysokie kwoty, lub też klucze od safe'ów, i wreszcie, jak koty związawszy w worku, topi ich w jeziorze.

Z krótkiego streszczenia sądząc byłaby to powieść typowo sensacyjna, tak jednakże nie jest, gdyż obok zasadniczego wątku i zasadniczych figur mamy tu mnóstwo zdarzeń i postaci pobocznych o poważniejszym niż główni bohaterowie rysunku, a obok fragmentów niby z dramatu policyjnego, lub demagogicznych wycieczek, są trafne spostrzeżenia natury ogólno-ludzkiej, no i jest wspaniały, prawdziwie zapierający dech w piersi opis meczu Carpentiera z Dempseyem. Dla tych paru genialnych stron warto przeczytać całą, niezbyt udaną książkę.

Przekład Wacława Rogowicza ma dziwaczne potknięcia. Te uliczki „drapiące (?) się na północne wzgórza“, oryginalna transkrypcja słowa *bourgeois*, które Rogowicz spolszcza „burżuaz“, a odmienia „burżuaza“, „burżuazowi“, no i wreszcie ów *bolszoj*, czy też *wielikij artist*, przetłumaczony na „duży artysta‘ — to jest, wszystko razem wziąwszy, duże nieporozumienie.

ILJA ERENBURG: *Jednym tchem.* Tłumaczył A. Stawar. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój“.

Obok powieści, w których rewolucja toruje sobie drogę najczęściej gwałtem i przemocą, lub też broni się przed niemniej krwawą reakcją, — mamy tu sielankę rewolucyjną, pokojowy wyścig pracy, pod zwycięskim czerwonym sztandarem.

Tłem jest daleka północ Rosji, skąd się odbywa eksport sowieckiego budulca morzem zagranicę. Chodzi o wypełnienie określonego planu zadań, o pokonanie trudności, które piętrzy żywioł nieprzychylny, a potęguje nieuświadomiona i leniwa masa ludzka.

Erenburg, którego znaliśmy dotąd raczej ze zjadliwych parodyj na rzeczywistość burżuazyjną, — wystąpił tu jako pisarz realistyczny. Wraz z nim przesycamy się nastrojem przodowników-komsomolców, którzy cały zapał młodzieńczy i niesamowitą wprost wiarę kładą w swoje posłannictwo, tak proste i tak trudne zarazem, jak należyte sortowanie drzewa i jego właściwy spław.

Wielki talent autora uchronił go od przejaskrawień, od stworzenia taniej apoteozy ruchu komsomolskiego. To nie są bohaterzy z baśni, pozbawieni wszelkich przywar, to są ludzie najbardziej w gruncie rzeczy pospolici, tyle że rozpaleni ideą, lecz mimo to dostępni wszelkim człowieczym słabościom. Cóż może lepiej scharakteryzować ich ducha, jak ten krótki fragment, gdy „udarnikowi“ Geńce umiera mała córeczka, a on rozważa jak będzie z jej pogrzebem.

„Geńka chciał opowiedzieć towarzyszom, ale się rozmyślił, poco, co komu do jego nieszczęścia? Jeżeli chowają komsomolca, albo pioniera, rzecz zrozumiała — mówi się mowy, śpiewa się; a Dasza nie miała nawet roku“.

Więc grzebali Daszę tylko we dwoje, Geńka i żona jego Lola.

Do tych ludzi twardych, wybuchowych, a jednak po swojemu uczuciowych głęboko, pasuje znakomicie przyroda północna, owo krótkie, gorące lato, surowa zima, gwałtowne śnieżyce i wichry, a potem białe noce wiosenne, podczas których sen ucieka z powiek. Charakter ludzi zdaje się wypływać z otoczenia, a natura jakgdyby wzoruje się na ludziach, nie czyniąc niczego połowicznie, od skwaru do mrozów, od ciemności do światła przerzucając się z impetycznym rozmachem.

Powieść Erenburga jest niewątpliwie fragmentem sowieckiej rzeczywistości, i bez względu na to, do jakich celów dąży ta rzeczywistość, należy podkreślić, do jak niezwykłych rezultatów dochodzi wychowanie państwowe, poparte odpowiednią propagandą, umiejącą dotrzeć do dna serc i umysłów obywateli.

JERZY MARLICZ

TEATR

TEATR LETNI: *Podwójna buchalteria*, komedia muzyczna w 3 aktach *E. i A. Golza*, w przeróbce i z piosenkami M. Hemara, muzyka B. Gruena.

Świat biurowy jest coraz bardziej w modzie, zwłaszcza w sztukach importowanych z Wiednia. Czyżby to świadczyło, że ich producenci nie liczą już na górne kilka tysięcy, lecz na publiczność złożoną z biuralistów i biuralistek? Czyżby już tak daleko zaszło przetasowanie publiczności? A może nie, może się liczy właśnie na nowy snobizm, że niby to „pracownicy umysłowi“ i ich praca czy brak pracy leżą także elicie na sercu, wywołują u niej dreszczyki sympatii. Trochę jest to nawet paradoksalne: temat sam przez się jest przecież przykry, wciąż ociera się o tragedię nędzy, a jednak autorzy nie mogą go wyminąć, gdy chcą zająć publiczność. Czasem te wysiłki autorów — w tym wypadku Golców! nomen omen! — graniczą nawet z nietaktem. Gdy np. bezrobotny umysłowiec obejmuje posadę buchaltera, a nic się na tym fachu nie zna. Dla paru sytuacyj komicznych obraża się nieszczęśliwców naprawdę porządnych, robiąc ich reprezentantem oszusta, dziada, a co najmniej partacza.

Ale wzorem jest tu Chaplin, niegdyś strasznie przereklamowana gwiazda filmowa, milioner, na którym snobizm ówczesny oparł legendę o „szarym człowieku“ — czy człowieku — i przypisał mu nawet pewną filozofię. Stał się wtedy szczególny przyczynek do historii legend. Chaplin był klownem, wyszedł z cyrku i stylizował się nietyle na szarego biedaka, ile na niedołęgę, niezgrabiarza, miewał swoje najlepsze kawałki, inscenizując śmieszne walki z żywiołem materialnym — o czym szeroko mówię w mojej *Dziesiątej Muzie*. Później gdy na gwałt robiono zeń Diogenesa naszych czasów, dostosował się do swojej legendy, ale i wtedy wolał przede wszystkim role włóczęgi a nie proletariusza. Włóczęga Réné-Claireowski, z pieśnią *A nous la liberté* na ustach, to coś całkiem innego niż proletariusz szukający pracy. Tamto jest zwyrodniała legenda romantyczno-literacka, zwalniająca od kłopotów socjalnych, bo niby żebrak jest też królem, — tutaj zaś mamy do czynienia z ofiarą maszyny, z jej wzgardzonym niewolnikiem, który o niczym bardziej nie marzy jak żeby się wrócić do tej niewoli. Wprawdzie w swoim ostatnim filmie *Nasze Czasy* Chaplin już się zmienił, ale z akrobatyką i z psuciem maszyn jeszcze nie zerwał, bo z czego by czerpał zabawę.

Wracam jednak do *Podwójnej buchalterii*. Moje powyższe uwagi dotyczą tylko ogólnych założeń sztuki tego rodzaju, ale sam egzemplarz, o którym tu mowa jest niezły. Niedołężnego buchaltera robi p. Dymsza raczej w stylu Bustera Keatona niż Chaplina: drewno, automat. W drugim akcie, co prawda, styl się zmienia. Nieborak, wzięty za kogo innego, obsypywany honorami, dostaje zawrotu głowy i zachowuje się jak sam Chlestakow z *Rewizora*. To jest dość niebezpieczny moment sztuki. Autorzy — owi Golcy z Wiednia plus pan Hemar z Warszawy— ratują pana podwójnego tym, że niby nie uświadomił sobie swojej mistyfikacji. Dobrze, że tak, inaczej „szary człowiek“ wyrósłby na hochstaplera. Najlepsze są sceny III aktu, w których historia się wyjaśnia i szaraczek pyta siebie: za kogo oni mnie wzięli? Kim ja właściwie jestem? Tu komizmu sporo. Zresztą olbrzymia zręczność i szybkość gry wszystkich aktorów czyni całość strawną i nawet miłą. Jest też sporo piosenek z tańcami, jedna czuła i ładna. Jest też dobry dowcip p. Hemara o Akademii, podobno stary, ale jeżeli znacie, to posłuchajcie: Mają znieść Akademię, na razie jej nie znoszą.

KAROL IRZYKOWSKI

SPRAWY WŁOSKIE

Z BADAŃ NAD STOSUNKAMI KULTURALNYMI POLSKO-WŁOSKIMI.

Doc. M. Brahmer, który już wkrótce rozpocznie oczekiwane wykłady z literatury włoskiej na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego, oświetlił w ostatnich czasach parę momentów w dziejach stosunków kulturalnych między Polską a Włochami.

Ciekawym przyczynkiem do dziejów teatru z czasów przedstanisławowskich w Polsce, jest artykuł o teatrze włoskim na dworze Sobieskiego.[1] Autor odróżnia z naciskiem teatro dell' arte od opery, która należała do „modnych a niecodziennych rozrywek dworskich o charakterze reprezentacyjnym", i zostawiała po sobie liczne świadectwa w postaci programów i libretta. Inaczej teatr komediowy, który był rozrywką pospolitszą, i zostawił nieliczne ślady jedynie w korespondencji i rzadkich wzmiankach.

Badania Brahmera wykazują, że za czasów Sobieskiego teatr był w Polsce zjawiskiem rzadkim; upadła już widać wspaniała tradycja teatru z czasów Władysława IV. Wprawdzie Włoch Lampugnani, nadworny komediopisarz królewski, płodził sztuki przeznaczone dla uświetnienia niezwykłych uroczystości dworskich, ale, widać, podobne rozrywki były rzadkie, bo przybycie trupy komediantów włoskich, *cosa rarissima in Polonia* („rzecz bardzo rzadka w Polsce"), jak przyświadcza sekretarz króla, Talenti, wzbudziła nielada sensację. Trupa została przyjęta przez dwór entuzjastycznie, i sowicie wynagrodzona. Czy poziom artystyczny wystawianych komedyj był godny tego uznania? Brahmer cytuje uwagi współczesnych, które nie przynoszą zaszczytu ani włoskiej kompanii, ani smakowi doborowego towarzystwa, które się nią zachwycało. Niemniej jednak opis pobytu, świadectwa i historia zatargu z nuncjuszem z powodu występów trupy przez Wielki Post — rzucają ciekawe światło na stronę obyczajową epoki i na tak mało znany teren teatru tego okresu.

*

Innym ciekawym artykułem Brahmera jest *Węgierski w Wenecji*[2]. Tu autor przedstawia Węgierskiego, jako jednego z nielicznych admiratorów Wenecji, którzy piórem utrwalali swoje wrażenia.

W XVI i XVII w. nietylko piśmiennictwo polskie, ale inne literatury europejskie nie posiadają „godnego tej nazwy, literackiego obrazu ówczesnej Wenecji". W XVII w. powstaje wielka literatura opisowo-podróżnicza, ale wśród opinij o Wenecji nie wszystkie były pochlebne... Tak samo w Polsce: Staszic nie zachwycił się Wenecją: „Miasto nieregularnie zabudowane, śmierdzące" — powiada. Natomiast Węgierski odczuwa cały jej powab i urok. W obszernej korespondencji w języku francuskim, daje plastyczny obraz życia i obyczajów ówczesnej Wenecji, podkreślając, jak pisze Brahmer, „dwa motywy przewodnie: *plaisir i esprit*"... „dwa rysy dla obrazu ośmnastowiecznej Wenecji najbardziej istotne, a przez nikogo może nie ukazane tak wyraźnie. Zarazem oddał jej pochwały — w skali ówczesnych upodobań — najwyższe".

Tak więc Wenecja, będąca na szlaku podróży tylu literatów — Polakowi zawdzięcza wierny obraz i szczere uznanie.

Inaczej w epoce romantyzmu. Tu badania Brahmera wybiegają znacznie poza określony temat. Autor przedstawia dzieje Wenecji w twórczości innych poetów: „W polskiej poezji romantycznej przypadła Wenecji rola raczej skromna. Niedawna Serenissima nie znalazła u nas swego Byrona, Musseta czy Chateaubrianda" — pisze. Jedynie Krasiński wyznaczył Wenecji ważną rolę w swoich utworach, wiążąc z nią Delfinę w *Nieboskiej Komedji cz. I.* Krasiński odczuwał nietylko przeszłość świetnej Rzeczypospolitej, ale i jej teraźniejszość; Brahmer cytuje słowa Krasińskiego: „*Venise fut, pendant bien des âges, la reine de l'Italie et la dominatrice de l'Océan et à présent son sol est foulé par l'étranger que n'aurait pas regardé un de ses citoyens à ses beaux jours. Le lourd Allemand fait résonner la crosse de son mousquet sous les voûtes de marbre qui ne répétèrent jamais que l'écho du cliquetis des nobles épées frappant sur des écus chevaleresques. Un langage barbare s'entre-glisse dans les galeries où les accents d'amour empruntaient un nouvel attrait à l'harmonie de la guitare et à la mélodie de l'italien. Tout a changé, et le principe de grandeur, de liberté, d'orgueil et de fierté s'est laissé abattre comme un enfant à qui on plonge un poignard dans le coeur*".

Brahmer podkreśla, jak „wspólność losów politycznych i wspólność nadziei znów uczyniła Wenecję bliską dla Polaków pierwszej połowy XIX w." i kończy refleksjami o zrozumieniu Wenecji przez Polaków swoje krótkie studium, które dorzuca garść nieznanych dotąd wiadomości do dotychczasowych rezultatów badań o związku Polaków z innymi miastami włoskimi.

W. WYHOWSKA de ANDREIS

[1] MIECZYSŁAW BRAHMER: *Włoscy komedjanci Króla Jana. Pamiętnik Literacki* roczn. XXXII, zeszyt 1—2.

[2] M. BRAHMER: *Węgierski w Wenecji.* Nadbitka z *Prac historyczno-literackich ku czci Ignacego Chrzanowskiego.*

*

ARTYŚCI POLSCY WE WŁOSZECH

Powstał tu niedawno Związek Artystów Plastyków „Kapitol". Gromadzi on w swych szeregach artystów polskich, przebywających w Rzymie. Celem Związku jest ujęcie z czasem wszystkich artystów polskich we Włoszech w szeregi organizacyjne, samopomoc wzajemna, oraz propaganda sztuki polskiej na tutejszym gruncie drogą urządzania odczytów z zakresu historii sztuki polskiej, wieczorów dyskusyjnych, wystaw itp. Na zebraniu inauguracyjnym, które się odbyło w ubiegłym tygodniu prezesem został wybrany malarz Jan Dzieślewski ze Szkoły wileńskiej. Członkami są malarze: Bakałowicz Antoni, Kociemski Leonard, Mazurowski Wiktor i Siemiradzki Leon oraz rzeźbiarze: Bogdanowiczowa Jadwiga, Dąbrowska Krystyna, Gosławski Józef i Paszyn Michał. „Kapitol" urządza wystawę prac swych członków już w początku maja w pałacu Doria w Rzymie. Pozatem rzeźbiarze biorą udział w konkursie na biust Marszałka, urządzonym przez Towarzystwo im. Adama Mickiewicza w Rzymie.

Rzym.

B. K. W.

PRZEGLĄD PRASY

WĘDRÓWKA NOWEGO PARSYFALA. Pod tym tytułem umieścił studium o poecie angielskim T. S. Eliocie Wacław Borowy. Znakomity krytyk przybliża postać tego interesującego pisarza, zestawiając go z innymi poetami, szczególnie francuskimi, więcej nam znanymi. Raz po raz sięga także do porównań z naszymi poetami okresu „Młodej Polski", podkreślając wspólne cechy upodobań psychicznych i estetycznych pisarzy europejskiego symbolizmu. Na tle niezwykle ubogiej naszej anglistyki współczesnej studia Borowego wyróżniają się wysoką kulturą intelektualną i estetyczną. Możnaby je zestawić w pewnej mierze z znakomitymi pracami J. Ujejskiego o Conradzie. O znaczeniu takich prac dla rozszerzenia kultury i perspektyw intelektualnych i moralnych w Polsce nie potrzeba się rozpisywać. Dotychczasowa propaganda współczesnych autorów angielskich chybiała celu w dużej mierze. Powodem tego był albo dogmatyczny stosunek wyznawcy-propagatora (Słonimski, Horzyca), albo jego całkowita nieudolność (Helsztyński). Jest objawem bezwzględnie dodatnim, że, nietylko angliści „z fachu" (Dybowski, Tretiak, Tarnowski), ale także poloniści zaczynają się Anglią kulturalną zajmować. Ze zrozumiałych powodów udaje im się przez odrzucenie zbytniego balastu historyczno-literackiej wiedzy głębiej wniknąć w pisarza, a tym samym nawiązać bliższy kontakt między nim a czytelnikiem. Stąd nietylko historyczne, ale także wysoce „aktualne" znaczenie ich prac. (Przegląd Współczesny, nr. 6).

UPRZEDZANIE ATAKU. W tym samym numerze interesujący i jako studium o metryce i jako metoda polemiczna artykuł K. W. Zawodzińskiego, polemizujący z Fr. R. Siedleckim. Zawodziński, któremu zapowiadał Siedlecki atak, zarzucając mu wadliwe pojmowanie roli „wiersza regularnego" w poezji, uprzedza artykuł Siedleckiego, zwracając mu uwagę na niebezpieczeństwo pewnych jego teoryj i na obowiązek przejrzenia wszystkiego, co Zawodziński o poezji w przeciągu 15 lat pisał. Tytuł artykułu Z. brzmi: „Byle sprawiedliwie". Uprzedzanie przeciwnika, zwracanie mu uwagi na konieczność uwzględnienia całkowitej działalności atakowanego — jest b. interesującą metodą polemiczną. Metodą zresztą wysoce kulturalną. Właściwie wydawałoby się, że niepotrzebną. Praktyka jednak wykazała, że jest ona nieraz wobec pohopności w wyciąganiu wniosków, konieczna. Stąd wartość artykułu Z. Nie potrzeba dodawać, że ton polemiki jest b. kulturalny.

PIERWIASTKI ZMYSŁOWE I ZNACZENIOWE W DZIELE MALARSKIM. Mieczysław Wallis ogłosił w rn. 5 „Wiedzy i Życia" artykuł w którym stara się posegregować dzieła malarskie z punktu widzenia ich budowy semantycznej. Dzieli on je na a) bezprzedmiotowe, b) o stłumionych pierwiastkach przedmiotowych, c) przedmiotowe, pozbawione pierwiastków wyrażających, d) przedmiotowe o pierwiastkach wyrażających, e) anegdotyczne, f) ilustracyjne w szerszym, g) w węższym znaczeniu, h) zawierające znaki umowne, i) zawierające znaki symboliczne, j) oparte na koncepcji typologicznej. Ambicją autora było wykazanie, że działanie dzieła malarskiego jest przeważnie wynikiem współpracy wzroku i myśli. „Rozważania te mają mieć znaczenie dla bieżących sposobów artystycznych między zwolennikami „malarstwa malarskiego" asemantycznego z zwolennikami malarstwa tematowego", przyczyniają się do rozproszenia wielu nieporozumień". Wallis daje w swoim artykule broń „treściowcom".

PROPAGANDA MALARSTWA POLSKIEGO WE WŁOSZECH. Nr. 5 *Miesięcznika Italo-Polskiego* jest poświęcony w głównej mierze sprawie abisyńsko-włoskiej. Ta część numeru jest mniej interesująca. Znajdziemy w niej albo urzędowe enuncjacje albo artykuły, których forma i treść niedaleko odbiegają od nich. Propaganda tego rodzaju chybia oczywiście celu. Czytelnicy pisma dość specjalnego mimo wszyst-

SPOJRZENIA W RZECZYWISTOŚĆ

Sens przygotowań gdańskich nie budzi żadnych wątpliwości. Prezydent Greiser zlekceważył Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, potem w Genewie okazał całkowite lekceważenie dla samej Ligi, jako poręczycielki na obszarze Wolnego Miasta jego statutu i praw obywatelskich ludności. Jak wieść niesie, niebawem ma zadać ostateczny cios opozycji wewnętrznej — poczem będzie miał Gdańsk „zgleichschaltowany", posłuszny, przyjmujący z zachwytem każde jego postanowienie. Wtedy można będzie czekać na sposobność i zgłosić przyłączenie do Rzeszy. Gdyby Polska wtedy chciała się sprzeciwić — zostanie jej chyba wysłanie floty wojennej do portu i kto wie, czy nie zatarg zbrojny z Rzeszą. Widmo tego zatargu ma nas zastraszyć.

Ale — z jednej strony nie jesteśmy tak słabi, żeby się lękać — to jedno. A co ważniejsza — mamy jeszcze inne środki na uspokojenie Gdańska. Jeden z nich — to Gdynia. Ten wyzyskaliśmy w pełni. Drugi, niestety, zapoznany, jak dotąd — to Tczew — ten sam Tczew, z którego w roku 1926-ym rozpoczęliśmy wywóz węgla, z którego wypływały pierwsze morskie okręty polskie.

Tczew, port rzeczno-morski zapewne, nie będzie mógł nigdy przyjmować wielkich transatlantyków — przeszkodą temu nasypiska piasków przy ujściu Wisły. Może on jednak stanowić pierwszorzędną podstawę dla żeglugi bałtyckiej. Pociągi lichtug, ciągnione przez holowniki mogą stąd zdążać do krajów skandynawskich. Tu może mieć oparcie mała żegluga, obsługująca Szwecję, Danię, Estonię, Łotwę i t. d. Tu może mieć oparcie nasz wywóz drewna i wszystko to, co płynie Wisłą. Statki z Tczewa mogą zagłębić się w fiordy, dowozić towary do odległych od wybrzeża miasteczek i wiosek Skandynawii.

Tczew należycie rozwinięty — to przyszła ojczyzna szyprów — właścicieli statków przedsiębiorczych, pracowitych — to rękojmia pociągnięcia do pracy morskiej zastępu ludzi niezamożnych, a przedsiębiorczych. Tczew to zagadnienie stworzenia naszego „drobnomieszczaństwa" morskiego.

I to ostateczny cios w Gdańsk, jako w korek, zamykający nam Wisłę. Z chwilą, gdy pierwsza draga pocznie pracować na wielkich łąkach Zajączkowskich, wybierając z nich pierwszy basen portowy — Gdańsk będzie musiał zacząć przemawiać zupełnie innym głosem.

Zaniedbaliśmy Tczew. Zapomnieliśmy o nim. Zapomnieliśmy, że potrzebny on nam jest i jeszcze z innych względów — oto jako wielka masa polszczyzny prężnej i mocnej, przemysłowej i ruchliwej, zdobywczej, pracującej, kulturalnej — umieszczona w węźle Polsko-Gdańsko-Pruskim. Musi powstać tu twierdza narodowa, spoglądająca po przez granice i dowodząca każdemu z mieszkańców obcego władztwa, że Polska — to nie galareta.

I o to właśnie chodzi, by przenieść sprawę Gdańska z dziedziny rozmów dyplomatycznych, wszelkiego rodzaju oświadczeń, not, demarche i t. p. „posunięć" na grunt twórczości społecznej i gospodarczej. Trzeba zrozumieć, że w tej dziedzinie spółzawodnictwo z nami nad Wisłą jest niemożliwe. I trzeba „dobrze nam tą myślą przesiąc", że możemy już dziś portem morskim uczynić i Grudziądz, a kiedy trzeba będzie — to nawet Włocławek pociągniemy do pracy na Bałtyku.

Tak jest. Chodzi o to, by umieć stawiać sprawy na gruncie społecznym, by porzucić formalistyczne ich traktowanie. Mieliśmy, dajmy na to, rozruchy robotników rolnych. Władze administracyjne lokalne uważały, że najpilniejszą sprawą jest wyszukanie „agitatorów" i osadzenie ich w więzieniu. P. Premjer wykazał, że dobrze ocenia sprawy, nakazując natychmiastowe zwolnienie aresztowanych. Bo przecież nie o agitację chodzi tam. gdzie ludzie za 11 godzin pracy dostają 60 gr. dziennie! Tam trzeba zmienić gruntownie warunki życia! A tem pilniejsza jest ta potrzeba, że dzieje się to w majątku Akademii Umiejętności. Czy wolno jej przyjmować na się tego rodzaju odpowiedzialność? Trudno — przyrodnicy, filologowie, historycy, poloniści nie mogą gospodarzyć sami. Trzeba te rzeczy bardzo gruntownie przemyśleć i powiedzieć sobie zupełnie wyraźnie, czy wogóle instytucjom tego rodzaju wolno prowadzić przedsiębiorstwa, w których zachodzić mogą starcia natury społecznej. Do tematu tego należy zczasem wrócić i rozważyć go na podstawie całości sytuacji obecnej i stanu posiadania naszych instytucyj naukowych. Trzeba to zrobić dla ich powagi i dobrego imienia i tej czystości atmosfery, jaką winny one być otoczone.

Pomijanie podłoża społecznego prowadzi do schorzeń i schorzeń nieraz groźnych dla psychiki — powiedzmy sobie — całego narodu. Mieliśmy najście, napad, czy najazd na Myślenice, dokonane przez inżyniera Doboszyńskiego — czyn operetkowy, choć tragiczny wskutek krwi przelanej i zniszczenia mienia obywateli. Jego niesamowity bezsens bije w oczy. A przecież ten czyn ma już gloryfikatorów. Doboszyński w więzieniu jest otoczony czułą opieką, ludzie nieznani przysyłają mu żywność, smakołyki — książki. Na licytację w majątku jego rodziny ściągają tłumy, dopilnować, aby nikt nic nie kupił. Obrony Doboszyńskiego podejmują się adwokaci ze wszystkich stron Rzeczypospolitej. Liczne dzienniki notują skwapliwie wszystkie objawy sympatii dla niego, podnoszą zalety charakteru, wychwalają płytkie i nic nie znaczące utwory, artykuły, książki tego człowieka. Idzie zdumiewająca robota wysławienia obłędnej jednostki za niesłychanie naiwnie i nieudolnie przeprowadzone przestępstwo, pozbawione myśli przewrotowej.

Co to jest? Czy ci ludzie naprawdę nie mają godniejszych przedstawicieli swego kierunku? Czy jest wśród nich taka posucha na akty poświęcenia się, zaparcia, woli, że każdy odruch podnoszą do niebywałej godności? Czy Doboszyński ma być drugim Niewiadomskim? Ale i tu by było pomniejszenie niepomierne.

Może tak jest istotnie. W kołach gloryfikatorów najazdu na Myślenice naprawdę trudno o istotnych bohaterów. Ale poza wszystkim — jest jeszcze coś innego. Jest ciężar gniotącej szerokie masy rzeczywistości, owej rzeczywistości, która się wyraża w 60 gr. dziennego zarobku za 11 godzin pracy, owej rzeczywistości — głodu, nędzy.

I koniec końców to samo leży u podłoża dwóch ohydnych morderstw wyższych urzędników ubezpieczalni społecznych. Padli od kul straceńców ludzie godni — Wąsowicz i Gosiewski. „Za co"? — woła zrozpaczona rodzina. „Za co?" powtarzają przyjaciele. „Za co"?! ciśnie się na usta każdemu nieuprzedzonemu...

To pewne, że nie za ich winy i to zdaje się być pewne, że nawet nie za krzywdy straceńców, którzy za broń morderczą chwycili.

Tylko — to jest również pewne, że te odruchy niepoczytalne są zbyt częste, by je zlekceważyć i poprzestać na potępieniu. Te wszystkie potworności plenią się u nas w atmosferze ciężkiej i zadusznej. Trzeba ją zmienić. A jak?

Niestety już wypada kończyć. Niema miejsca dla snucia dalej myśli. Więc niech wolno nam będzie odesłać Czytelnika do ostatniego numeru *Wiedzy i życia* (Zeszyt 6—7). Prof. Florian Znaniecki ogłosił tam ciekawe studium p. t. „Kult Państwa", omawiając stosunek do niego obywatela, analizując stosunek członków do różnych organizacyj i wskazując drogi urzeczywistnienia kultu państwa. Wniosek Uczonego brzmi:

„W każdym razie jedno jest pewne: *jeżeli* ideologia kultu państwa rozpowszechni się i utrwali, nastąpić to może tylko *wbrew* tym mężom stanu i przywódcom partyjnym, którzy ją dziś usiłują swoim państwom narzucić".

Podkreślenia są Autora i mówią dużo. Jeszcze więcej powie sam artykuł.

ADUZ

ko, jakim jest miesięcznik, nie są na tyle naiwni, żeby przywiązywali specjalną wagę do bardzo jednostronnych wywodów autorów artykułów, umieszczonych w numerze. Ponieważ założeniem redakcji miało być, jak to stwierdzała niegdyś, ścisłe nawiązywanie kontaktu z kulturą polską, o wiele większą wagę przypisujemy pracom z dziedzin mniej bliskich polityce aktualnej Włochów. Do takich prac należy zaliczyć artykuł o współczesnym malarstwie polskim Mieczysława Tretera. Należy żałować, że redakcja uważa tego rodzaju artykuły za rodzynki w cieście ściśle politycznym. O wiele chętniej czytalibyśmy artykuły o współczesnej kulturze włoskiej niż prace o bardzo wyraźnym charakterze politycznym. Powtarzają one właściwie wiadomości, dobrze znane czytelnikowi z prasy codziennej. Czy pismo na tym powtarzaniu wiele zyska, pozwalamy sobie wątpić. A przecież trzeba, aby pismo mogło odgrywać poważniejszą rolę w naszej kulturze współczesnej, której życie kulturalne Włoch współczesnych jest prawie nieznane.

W. BĄK

KRONIKA

NIECO O DOJRZAŁOŚCI I MATURZE

Otóż mamy wakacje. Patrzymy w tej chwili na sprawy pogodniej i może dla tego głębiej. „Lust tiefer ist als Herzensleid“ — mówił Nietzsche. Warto też rzucić okiem wstecz, na zagadnienia, które przed chwilą jeszcze nas tak podniecały. A po za polityką, mowami dygnitarzy, sejmem i innymi sprawami oczywiście było i coś — nieomal wiekuistego. Sprawa matury.

Plon tegoroczny wypowiedzeń się w tej dziedzinie był zresztą bliźniaczo podobny do zeszłorocznego, do zaprzeszłorocznego i z przed laty dwudziestu, trzydziestu... dalej nie pamiętam. Zawsze co rok porusza opinię samobójstwo ucznia, potem padają gromy na szkołę, i hejże na maturę! A ona spokojnie czeka, słucha tego zgiełku; czasem znajdzie jakiegoś urzędowego obrońcę równie nieszczerego jak napastnicy — i pozostaje, aby na przyszły rok stać się znów z powodu szeregu nowych samobójstw, przedmiotem gniewnych pocisków.

Wszyscyśmy maturę zdawali. Im kto starszy, zdawał w gorszych warunkach. Jedni „kuli“ do niej — inni nie. Jedni urządzali sobie jakieś „gabinety pomocy“ i mniej lub bardziej przemyślnie przemycali gotowe zadania — polegali na sobie. Ostatecznie, jeżeli chodzi o mnie, zdawałem wraz ze 112-ma kolegami. Z nich padło czterech czy sześciu. Ale stwierdzić muszę, że takich, którzy nic, albo prawie nic nie umieli — było znacznie więcej. Dobrze, jeżeli połowa naprawdę była odpowiednio przygotowana i dojrzała do wyższych studjów. Grono moich kolegów nie było wyjątkowe, gdzie tylko rzuciłem okiem, widziałem ten sam stosunek.

I nareszcie trzeba sobie powiedzieć prawdę. Matura obecnie bynajmniej nie jest siecią do zatrzymywania kogokolwiek — nie. Wręcz przeciwnie — jest ona narzędziem przepychania go przez szkołę — każdego, najmniej zdolnego. Gdyby nauczycielom, radzie pedagogicznej kazać oceniać zdolność wychowanków na podstawie ich nauki szkolnej i wydawać świadectwa według znajomości uczniów, stwierdzające że ten i ten, ta a ta, w ciągu tylu a tylu lat uczył się i po opanowaniu programu jest przygotowany do samodzielnej pracy w wyższym zakładzie naukowym — to, możemy być najświęciej przekonani, znaczna część obecnych maturzystów pozostałaby „odpalona“. I to nie na egzaminie, ale nieraz rok i dwa przed nim. Ale rada pedagogiczna obraduje dziś nie nad tym, kto jest przygotowany, a kto nie. Pytanie wobec którego staje brzmi: zda maturę czy nie? Zda ostatecznie przy jakiej takiej pomocy? Potrafi ukryć ściągaczkę? Potrafi odpisać? Zdoła odpowiedzieć na pytanie, które z nim się uprzednio przerobi?— jeżeli tak — niech idzie. Przecież nie można przeszkadzać. Tym lepiej, że już nie będzie zajmował miejsca w szkole.

I dlatego matura — to gra — właśnie dla tych nieuków, dla tych, kogo się chce za wszelką cenę przepchać. Matura to papierek, który w naszych, biurokratycznych stosunkach „otwiera drogi“, daje nadzieje otrzymania jakiejś posady, a przynajmniej pozwala przygotowywać się do tej posady. I choć dziś tak nie jest, ulegamy złudzeniu, że tak być powinno, że matura to sprawa chleba. I jak długo będziemy pielęgnowali szkodliwy przesąd, że jaki kolwiek papierek daje człowiekowi przywileje, uprawnia go do zajmowania jakiegoś stanowiska, tak długo będziemy mieli do czynienia z tą niemoralną, obrzydliwą grą, utrzymywaną po to, by nauczyciel, za potwierdzenie dojrzałości skończonego bałwana, mógł zrzucić z siebie odpowiedzialność na jakieś „ciało“ bezosobowe „delegata“. A gra — gra zawsze pociąga ofiary. Trzeba nie jakichś reform odgórnych — trzeba zmienić stosunek do szkoły.

Niestety, broszura p. St. Szantera, — *O istotną i życiową, a nie teoretyczną — biurową reformę szkolnictwa* — nie sięga tak daleko. Pomimo wiele obiecującego tytułu treść jej sprowadza się do żądania przyznania prawa wstępu na uniwersytet absolwentom seminariów nauczycielskich i wogóle do wpuszczania na uniwersytet każdego, kto złoży odpowiedni egzamin. Tyle rewolucyjnych słów i odruchów, tyle oburzenia i ostatecznie... Zapewne otwarcie drogi na wyższe uczelnie przed tymi, którzy posiadają dojrzałość do pełnienia zawodu nauczycielskiego jest nakazem sprawiedliwości i słuszności — ale naszym zdaniem to tylko fragment zagadnienia znacznie poważniejszego i szerszego. A temperament Autora i jego doświadczenie każą nam zachęcić go do szerszego postawienia sprawy.

Seminarzystów należy, powiada Autor, dokształcić w dziedzinie łaciny. Czy na wszystkie wydziały? Ale — nie będziemy podejmowali dyskusji.

Łączy się z tym sprawa inna — uzupełnianie wykształcenia dorosłych, pracujacych zawodowo. Uprawia je Powszechny Uniwersytet Korespondencyjny. Tu ludzie, zajmujący się już pracą zarobkową, mają możność uporządkować wiedzę i przygotować się do egzaminów z pełnej szkoły powszechnej, z gimnazjum. Uniwersytet posiada znaczną ilość uczniów korespondentów. Duży ich odsetek pracuje w Korpusie Ochrony Pogranicza. Szeregowi uzyskują możność awansów. Podoficerowie zdobywają cenzus, który pozwala im zabiegać o oficerskie szlify. Rozpowszechnienie uniwersytetu korespondencyjnego dla wyrównania poziomu naszej kultury ma pierwszorzędne znaczenie. W ciągu szeregu lat pracy zdołał on wyrobić metody swoiste i oryginalne. Mamy ich próbkę w książce Józefa Korpały i Zofii Rutkowskiej p. t.: *Zagadnienia ustrojowe społeczne i kulturalne Polski.* Stanowi ona zamknięty kurs, podzielona jest na lekcje, każda lekcja kończy się odpowiednią ilością pytań i tematów do ćwiczeń.

Książka jest pod wieloma względami ciekawa. P. Rutkowska jednak nie znalazła granicy pomiędzy wiedzą a propaganda, ani pomiędzy uproszczeniem, a (nieraz) spaczeniem. Uderza to nawet przy tłumaczeniu wyrazów cudzoziemskich (np. akredytowany = urzędujący!) Jej zarys prawa publicznego na przykładzie naszej konstytucji przeistacza się w agitację za tą konstytucją. Przecież ona istnieje i obowiązuje. Ujęcia historyczne grzeszą nieścisłością, czasem kłócą się z chronologią. Autorka poprostu zbyt mało zadała sobie trudu na przestudiowanie rzeczy analogicznych prac podobnych — zbytnio zawierzyła własnej umiejętności stworzenia metody — zbyt też dużo zebrała szczegółów z drugiej strony i wskutek tego wykład jej nie rozwija, nie rozszerza światopoglądu, a obciąża w wielu wypadkach pamięć.

P. J. Korpała, w *Zarysie stosunków kulturalnych w dzisiejszej Polsce* dał to, co można by nazwać konspektem. Konspekt ten jest ułożony rozważnie. Mogli byśmy się pospierać z Autorem, czy należy oddzielać wstępne wiadomości od „rzeczy właściwej“. W naszym przekonaniu wykład jako całość służyć winien do tego, by należycie podać i rozwinąć to, co tak chętnie do wstępu przenosimy i ułatwiamy pracę nie uczniowi tylko sobie. Konspekt jednak p. dr. Korpały posiada wartość. Tylko znów trudno w nim znaleźć metodę pedagogiczną. To wszystko co tam znajdujemy nie jest dziedziną wiedzy organicznie z całością związaną, ale wycinkiem, „przedmiotem“ w znaczeniu szkolnym. Uniwersytet korespondencyjny potrzebuje czego innego. Nie należy zapominać, że uczeń nie korzysta w nim z przepytywań, z dyskusji w klasie, będzie pozbawiony marginesów nauczania, które dają nieraz więcej niż sam wykład.

Nie — to nie jest jeszcze właściwa droga — to dopiero szukanie metody, poszukiwanie, które będzie tym mozolniejsze, im mniejszą się zwróci uwagę na doświadczenia, jakie przed nami poczyniono za granicą, gdzie uniwersytety korespondencyjne mają długoletnią praktykę i wcale pokaźne osiągnięcia.

Osiągnięcia zaś są możliwe przy poznaniu środowiska. To też słuszna jest zupełnie i uzasadniona dążność pedagogów do poznania młodzieży, którą chcą wychowywać. Niezmiernie ciekawy przyczynek do tej kwestii znajdziemy u H. Rowida *Młodzież współczesna w świetle własnej opinii.* Uwagi o kulturze młodzieży szkół średnich. Opracowanie ma za podstawę ankietę urzędową wśród uczniów klas starszych w sprawie zachowania się ich kolegów w Krakowie. Wzięto więc pod uwagę przede wszystkim zewnętrzną stronę życia. Więc mamy odpowiedzi na temat, jak zachowują się wychowankowie gimnazjów względem osób starszych, urzędników, konduktorów, koleżanek...

Otóż mam wrażenie, że gdyby podobną ankietę rozpisano przed wojną, odpowiedzi były by bardzo zbliżone. I jeszcze więcej, odpowiedzi pozostaną takie same, kiedy wymagania kulturalne wzrosną o setki procent. Gdybyśmy mieli jakąś obiektywną ocenę „grzeczności“ młodzieży i zestawili ją z jej opinią na ten temat — to otrzymalibyśmy pewne dane. — Gdybyśmy mieli parę takich ankiet przeprowadzonych w tych samych środowiskach w odstępach kilkoletnich — i to by był materiał.

To co podaje p. Rowid jest interesujące z bardzo wielu względów (np. ocenę wieku pokwitania) ale nie mówi nam nic z tego, co obiecuje tytuł.

Sąd młodzieży o sobie wypadł ostro nie dla tego, że młodzież jest taka czy inna, ale dla tego, że sądzi ona ostro — wszystko.

A pomimo zastrzeżenia książka jest niezmiernie ciekawa. Jeżeli za lat pięć powtórzy ankietę, właśnie taką samą — porównanie jej z materiałem dzisiejszym pozwoli na znacznie pełniejsze spostrzeżenia.

A. UZIEMBŁO

SPROSTOWANIE

W artykule mym p. t. „Cenzura literacka w starożytności (*Pion* nr. 18/135 z dnia 2. V. 1936) na stronie 3-ej, w kol. 1-ej, wierszu 10-tym od góry mylnie wydrukowano zdanie: „Retor Montanus za tyradę „przeciw tyranom“ musiał iść na wygnanie“. Zdanie brzmieć powinno: „Retor Carinas Secundus — za panowania Kaliguli — za tyradę „przeciw tyranom“ musiał iść na wygnanie“ — i stać po zdaniu: „Aktorów sceny mimicznej i t. d.“.

WŁ. GORDZIEJEW

Książki nadesłane do Redakcji

POEZJE

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: *Słowik litewski.* Poezje. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK: *Prawo drapieżne.* Warszawa 1936. Bibljoteka Klubu Artystycznego S — tom 4.

WITOLD KASPERSKI: *Przemiany.* Lublin 1936. Związek Literatów.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: *Wolność tragiczna.* Warszawa (1936). Książnica-Atlas.

ZBIGNIEW KASIŃSKI: *Bez drogowskazu.* Warszawa 1936. Skł. gł. Tow. Wydawnicze.

LOLA SZERESZEWSKA: *Niedokończony dom.* Warszawa 1936. F. Hoesick.

TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK: Sercem naprzestrzał. Warszawa 1936. F. Hoesick.

KAZIMIERZ LIPSKI: *Błękitności.* Lublin 1936. Nakładem autora.

EDWARD KUDELSKI: *Refleksje dramatyczne.* Warszawa 1936. F. Hoesick.

EDWARD CROS: *Epilog Wyzwolenia.* Warszawa 1936. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

JÓZEF JEREMSKI: *Włókniarze.* Warszawa (1936). Wydawnictwo Współczesne.

POWIEŚĆ

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Czerwone maki.* Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

GUSTAWA JARECKA: *Przed jutrem.* Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

WANDA MELCER: *Dwie osoby.* Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

TADEUSZ ULANOWSKI: *Bank Chrystusa.* Warszawa 1936. F. Hoesick.

WANDA WASILEWSKA: *Wierzby i bruk.* Warszawa, Gebethner i Wolff (Polska i świat współczesny. Bibljoteka młodzieży, tom 39).

ADAM M. MAZUREK: *Rosną ludzie.* Powieść. Dom. Warszawa. Księgarnia Popularna.

AMELJA ŁĄCZYŃSKA: *Dachy płoną.* Powieść ziemiańska z ostatniej doby. Lwów. Skł. gł. Gubrynowicz i Syn.

V. STARRETT: *Jak w powieści.* Warszawa. Wydawnictwo Współczesne. Cykl Powieści Kryminalnych.

O. KUZNIECOWA: *Wróg pod mikroskopem.* Powieść o Ludwiku Pasteurze z ilustracjami. Warszawa. Księgarnia Popularna.

CHRISTA WINSLOE: *Dziewczęta w mundurkach.* Powieść. Warszawa. Księgarnia Popularna.

BERNHARD KELLERMANN: *Przyjaźń.* Powieść. Tom I i II. Z niemieckiego przełożył Bolesław Jacek Frühling. Lwów — Warszawa (1936). Książnica-Atlas.

JULJUSZ ŻUŁAWSKI: *Wyprawa o zmierzchu.* Powieść. Warszawa 1936. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska (Biblioteka Miłośników Książki).

UTWORY DRAMATYCZNE

TADEUSZ SARNECKI: *Wódz.* Misterjum tragiczne. Tryptyk żałobny. Zamość 1936. Koło Miłośników Książki.

ETNOGRAFIA

ŁUCJAN KAMIEŃSKI: *Pieśni ludu pomorskiego.* I. Pieśni z Kaszub południowych. Toruń 1936. Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego.

HISTORIA LITERATURY

STANISŁAW BRZOZOWSKI: *Kultura i życie.* Zagadnienia sztuki i twórczości w walce o światopogląd. (Stanisława Brzozowskiego *Dzieła Wszystkie* pod redakcją Artura Górskiego i Stefana Kołaczkowskiego. Tom IV. Opracował K. Wyka). Warszawa 1936. Wydawnictwo Instytutu Literackiego.

STANISŁAW PIGOŃ: *Na wyżynach romantyzmu.* Studja historyczno-literackie. Kraków 1936. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego.

Henryk Biegeleisen. Opracowali W. BARBASZ, JÓZEF GAJEK, STANISŁAW ŁEMPICKI, JAN MUSZKOWSKI. Przedmową poprzedził JULJUSZ KLEINER. Lwów 1936. Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

STANISŁAW STANKIEWICZ: *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej.* Część I (do roku 1830). Wilno 1936. Wydawnictwa Towarzystwa Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich.

MANFRED KRIDL: *Wstęp do badań nad dziełem literackiem.* Wilno 1936 (Z zagadnień poetyki, Nr. 1).

PSYCHOTECHNIKA

DR. E. MARKINÓWNA: *Eksperymentalne badania nad fantazją.* Warszawa 1934. Polskie Tow. Psychotechniczne. (Bibljoteka Psychotechniczna Nr. 4).

JANINA KĄCZKOWSKA: *Kandydaci do szkół zawodowych w świetle badań psychologicznych.* Warszawa 1935. Polskie Tow. Psychotechniczne. (Bibljoteka Psychotechniczna Nr. 5).

Mgr. A. BERGER: *Jak wychowywać dzieci umysłowo upośledzone.* Warszawa 1936. „Pomoc Szkolna“.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.